№ 17 Warszawa, dnia 17 (29) Kwietnia 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

MARYA STUART
W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał
ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

Obok serdeczności była Marya namiętną, a poddawała się tej swojej naturze zupełnie; nie chciała, czy też nie miała dość siły woli, aby nie dać się jej porywać, co przy wrodzonej i wyrobionej lekkości, wyrodziło owę słynną romansowość Maryi. Taką była w pierwszej swej wiośnie na dworze francuzkim, taką była i później, jako królowa Szkocyi bo nawet w więzieniu w Anglii. Jeszcze jeden ważny rys jej charakteru. Była nim nabożność. Przywiązanie do religii katolickiej i jej form, właściwe dworowi francuzkiemu, a wpajane ciągle w Maryą przez kardynała, przyjęło się. Marya kochała katolicyzm, jak kochała Francyą — lecz dusza jej nie posiadała prawdziwego wykształcenia chrześciańskiego, ztąd też wiara jej nie zapanowała nigdy nad lekkomyślnem targaniem obowiązków, nad zdeptaniem godności. Jednak, powtarzamy, Marya kochała wiarę swą i pomimo licznych zboczeń w życiu, została jej wierną; to ją ozdabia.

Marya miała lat szesnaście. Stosunki wymagały przyspieszenia ślubu; po załatwieniu więc ugody z parlamentem szkockim nastąpił ten akt ważny 24 kwietnia 1558 r.

Marya została żoną następcy tronu francuzkiego, a już 10 lipca roku następnego, po zgonie Henryka II, była królową Francyi. Przy spisaniu aktu ślubnego, a następnie przy królewskiej koronacyi popełniła Marya błąd, który niezawodnie zawiązkiem i początkiem późniejszego jej stał się nieszczęścia. Oto na mocy pretensyi, jakie miała do tronu Anglii, przyjęła herby angielskie a nawet tytuł królewski. Tem samem więc nie uznawała Elżbiety prawą królową Anglii. Nic więc dziwnego, że czyn ten, będący wynikiem porady francuzkiego dworu zanieprzyjaźnił ją z Elżbietą, a tem samem był kością niezgody, rzuconą między dwa królestwa, której ofiarą padła Marya sama.

Pożycie małżeńskie nie przyniosło Maryi szczęścia, bo straciła męża już w 1560 roku 5 grudnia, a z nim koronę Francyi. Wypadek ten pogrążył ją w głębokim smutku. Przesiadywała najczęściej samotna, towarzystwa unikała i w tej to epoce odrzuciła wiele propozycyi małżeńskich. Snać, czuła stratę boleśnie. Lecz na smutki nie miała wiele czasu, trzeba było myśléć o własnej koronie. Małżeństwo bezpotomne nie dawało jej żadnego prawa do Francyi, a gdy w własnej ojczyźnie coraz większe panowały zaburzenia, trzeba było spieszyć objąć ster rządu i w ciągłych troskach i trudach zapomnieć o spokojnej przeszłości.

W Szkocyi zaszły tymczasem niemałe zmiany. Walki wewnętrzne, wywołane głównie propagowaniem protestantyzmu, który też w końcu zwyciężył, niezgody, a przedewszystkiem brak ręki rządzącej, podkopywały państwo coraz bardziej. Matka regentka nie mogła podołać pomimo pomocy Francyi, bo protestanci mieli wojsko dobre, liczne, a nadewszystko dzielnych dowódzców, od czasu, gdy wiarę ich przyjął lord James Stuart, hrabia Murray, naturalny brat Maryi. Był to dzielny wojownik, a przytem charakter silny. On to na czele partyi protestanckiej walczył przeciw Maryi, a walka przychodziła mu tem łatwiej, skoro Elżbieta angielska, która początkowo wahała się z pomocą, od chwili gdy Marya przyjęła herby i tytuły angielskie, ochoczo rokoszan wspierała. Raz przyłożywszy rękę do tej sprawy, chodziła Elżbieta około niej pilnie, aż nareszcie ułożyła ugodę w Edynburgu, na mocy której miała Marya stanowczo raz na zawsze zrzecz się pretensyi do tronu angielskiego. Marya ugody tej nie podpisała. Zrzec się praw swoich wobec Elżbiety, którą uważała za królowę nieprawą, bo z małżeństwa zawartego przez Henryka VIII po złamaniu wiary katolickiej, a przyjęciu dla wygody protestantyzmu, zrzec się ich na zawsze, tego Marya nie mogła uczynić. Rozmowy i pisma jej w tej sprawie z posłami angielskimi dowodzą niezwykłych politycznych i dyplomatycznych zdolności. Zawsze i wszędzie dowodziła, że pragnie przyjaźni swej siostry, lecz ugody żadnej nie podpisze.

W postanowieniu tem wytrwała do końca. Lecz gdy zamieszania w kraju ciągle wzrastały, a regentka jeszcze 10 czer. 1560 r. zmarła, nie mogła Marya zwlekać z powrotem do swej ojczyzny. Trzeba było pożegnać Francyą na zawsze. Marya pragnęła wylądować w Anglii dla tej choćby przyczyny, że wylądowanie w Szkocyi było bardzo dla skalistych brzegów utrudnione, lecz Elżbieta nie udzieliła jej karty przejazdu i uczyniła to zależnem od podpisania ugody Edynburgskiej. Marya i tym razem odmówiła a czując budzącą się w sercu Elżbiety ku sobie nienawiść i przewidując walkę długą a zawziętą, powiedziała do posła angielskiego Throgmortona: „Mam nadzieję, że wiatr będzie mi sprzyjał i nie zmusi mnie wylądować na brzegach Anglii; wyląduję tam wszakże, to będzie mnie miała wasza królowa w swojej mocy i będzie mogła ze mną zrobić, co jej się podoba. Byłaby tak srogą i zażąda mej śmierci, niech uczyni wedle swej woli, ja będą ofiarą. Może los taki będzie lepszym dla mnie, niżeli życie. Niech się stanie wola Boża!"

Pomimo pilnego śledzenia dnia wyjazdu i wysłania okrętów dla pojmania Maryi, udało się jej odpłynąć z Calais, a pod osłoną gęstej mgły przy-

bić 19 sierpnia 1562 roku do brzegu w przystani Leith.

Szkoci przyjęli królowę bardzo serdecznie. Zewsząd zbierały się tłumy, które jej towarzyszyły do stolicy. Nawet tak wrodzy jej presbiteryanie, chcąc okazać radość z powrotu królowej, urządzili jej serenadę. Marya dziękowała wszystkim serdecznie, a uprzejmość i uroczy jakiś powab zyskiwał jej coraz liczniejszy zastęp zwolenników.

Po przyjęciu nastąpiło położenie trudniejsze. Państwo całe było w rozkładzie. Od lat dwudziestu zaszły tam liczne zmiany. Ojciec Maryi Jakób V, był królem silnym, umiejącym utrzymać poddanych w należytych karbach. Przedewszystkiem krótko trzymał szlachtę, a pracował dla dobrobytu ludu. Dlatego też kochał go lud, a w sercach szlachty możnej, a trzymanej silną dłonią monarszą na wodzy, tlał gniew, a rosła niechęć. Dlategoto szlachta wystąpiła po śmierc króla wrogo przeciw tronowi, a uwolniona z więzów zdobyła sobie teraz więcej niż wolność, przywłaszczyła sobie wszelką władzę, od najwyższej aż do najniższej. Dodajmy że szlachta ta nie była dobrą, że cześć, honor i słowność, te główne hasła rycerskie, nie były jej ozdobą, że była przekupną, chciwą, a okazywało się to najlepiej w sądownictwie, które w swojem dzierżyła ręku.

Takiego nieprzyjaciela mając w kraju własnym, a nie widząc dziś już żadnej pomocy ze strony Francyi, w trudnem położeniu była Marya: lecz nie traciła nadziei, owszem z prawdziwą energią i wielką zdolnością rządzenia poczęła radzić sobie w tak trudnej sprawie. Pierwszą rzeczą było, że powołała brata swego, hrabiego Murraya i sekretarza stanu Maitlanda, późniejszego lorda Lethington, do rządu. Pomoc to była dobra, lecz o ile Murray prawością na zaufanie zasługiwał, o tyle Lethington tej zalety nie posiadał, jak to się później okazało. Nową religię tolerowała Marya, dla siebie wymagając tolerancyi religii katolickiej, co też Murray pomimo silnego oporu presbiteryanów wymógł i mszę według rytuału katolickiego odprawiano w kaplicy zamkowej w Holyrood. W radzie przybocznej, składającej się z dwunastu lordów, zasiadało najwięcej protestantów. Najbardziej jej wrogim był Knox, żarliwy reformator, występujący nieustannie przeciw Maryi. Chcąc go ułagodzić, dopuściła królowa do rozmowy z nim, w której wszakże Knox nietylko nie zmienił swego antagonizmu, ale nawet ostrym był względem Maryi. Przyznawał wszakże, że Marya jest bardzo mądrą, lecz dumną.

Chociaż Knox nie przestawał występować głośno przeciw królowej, miała ona teraz silną podporę w Murrayu, którego coraz nowemi obdarzała zaszczytami. On był jej też wiernym i dobrze prowadził sprawy państwa. Marya tak dalece pragnęła zgody z protestantami, że zezwoliła nawet na wyprawę przeciw możnym rodzinom katolickim: Gordon i Hamilton, które jej były przeciwne. W wyprawie tej wzięła młoda królowa nawet sama udział, a niewygody i trudy wojenne nie przerażały jej bynajmniej, bo lubiła je i do igrzysk rycerskich była zaprawną. Wyprawa trwała krótko, a skończyła się szczęśliwie dla królowej.

Dziwnym wydać się może czyn ten Maryi. Ona, co tak kochała wiarę katolicką, przeciw jej wyznawcom walczyła i z protestantami się wiązała. Czyniła to niezawodnie tylko dla przypodobania się Elżbiecie, dla pojednania się z nią. Herby królestwa Anglii złożyła zaraz po śmierci męża, tem więc samem uznała prawo do tronu Elżbiety, teraz dokładała wszelkich starań, aby pogodzić się z nią, pośrednikiem miał tu być Murray, szczycący się łaską obu monarchiń. Minister Elżbiety, Cecil, przychylał się już do tego planu, królowa wszakże sama zwlekała i najwidoczniej zgody nie chciała. Obie królowe miały się nawet zjechać, lecz znów z winy Elżbiety zjazd ten nie przyszedł do skutku. Wszystko to wszakże nie wywołało jeszcze zerwania stosunków.

(D. c. n.)

Do mej gwiazdeczki!

Czemuż gwiazdeczko zdala ode mnie,
Na cudnym jaśniejesz niebie...
Czemuż to serce — tak nadaremnie,
Z tęsknotą wygląda ciebie?!...

Czy na niebieskim szukasz peronie,
Wspomnień — lub przyszłych kolei...
Czy mi z tych wyżyn chcesz podać dłonie
Z wianuszkiem wonnych nadziei?!...

. . . .

Jestżeś ty gwiazdko — cudów zbiornikiem,
Promieni nieba ozdobą?...
Czy zwykłym tylko ziemskim ognikiem —
Że mię tak wabisz za sobą...

Och! jeśliś gwiazdką—płyń na mem niebie,
Zbliż twe złociste promienie,
Bo mi tu łzawo... smutno bez ciebie!
Spłyń do mnie gwiazdko... marzenie!...

Kazimierz Niemierowski.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

(Dokończenie.)

XIII.

Przed chwilą jeszcze siedział gondolier Matteo w teatrze na wygodnym fotelu. Otrzymawszy tak niespodziany zarobek, pozwolił sobie większego wydatku, niżeli zamyślał. Nietylko zapłacił pół franka za wstęp do świątyni sztuki, ale za drugą połowę kupił fotel na parterze, w którym rozpierał się z taką rozkoszą jak książę Giovanelli, największy bogacz wenecki.

Dziwna rzecz, że po takim wydatku nie bardzo podobała mu się dzisiejsza operetka. Tenor nie intonował czysto, obie siostry nie zgadzały się razem, a poczciwy ojciec zakrawał na organistę, który będąc panem na chórze, nie zważa wcale na to, co się w nawie kościelnej dzieje. Słowem Matteo był dzisiaj wymagający i kapryśny, jak prawowity potomek książęcego rodu. Alboż to nie książęcy zbytek wydać całego franka na wieczór? Czyż za taką cenę nie można lepszej żądać sztuki?

Tak myślał sobie Matteo, drapując swój płaszcz z lisim kołnierzem jak najokazalej, rozpierał się jak najwygodniej na drogo zapłaconym fotelu i spluwał z całą swobodą na wszystkie strony, bez względu na to, czy trafi na złoto czy na aksamit!... Czasami pozwalał sobie nawet półgłosem wtórować bohaterce sztuki, nie zważając na to, że w koło niego sykano.

— Gdybym był wielkim panem — myślał sobie w duchu Matteo — nie wiem czy byłbym szczęśliwy. Gdy człowiek dużo pieniędzy wydaje, to żąda za wiele, a gdy mało dostanie, to gniewa się i chciałby wszystkim kości połamać... Gdym za pół liry stał w kącie i po pod ucho mego sąsiada na scenę patrzał, wszystko wydało mi się tak piękne i dobre! Dziś siedzę w fotelu i... nudzę się! Może to i dobrze że nie jestem bardzo bogatym! Nudziłbym się i gniewał na wszystkich. Przeklęty *Girofle!* śpiewa przez nos, jakby był słoniem!...

Półfrankowy fotel zniechęcał coraz więcej Mattea do sztuki a nawet do życia. I kto wie, czy w końcu nie stałby się skończonym mizantropem, gdyby w tej chwili nie pokazali się na scenie — piraci! Napadli oni na spokojny dom osadnika i uwieźli mu jedną z jego córek. Rozbójnicy wyjątkowo śpiewali dobrze... Scena ta dobrze oddana, przypomniała mu jego gondolę. Oddał on ją za pięć lirów nieznanym ludziom, którzy tak samo jak ci na scenie, mogą być rozbójnikami morskimi. Być może, że ci rozbójnicy obdzierają w tej chwili biedne ofiary swoje, podczas gdy on prawowity właściciel gondoli, wygodnie na fotelu się rozpiera... Być nawet może, że będzie oskarżony o wspólnictwo rozboju i dostanie się do tego pięknego gmachu, który „mostem westchnień" łączy się z pałacem dożów weneckich!..

Wszystko to zaniepokoiło go, a nie czekając końca ulubionej sztuki, wymknął się z teatru i ciasną puścił się uliczką.

Biegł szybko i mówił coś do siebie, jakby składał protokół przed sędzią. Zaklinał się na wszystkich Bogów, że z rozbójnikami żadnej nie ma spółki i że mimo wziętych pięciu lirów jest tak czysty i niewinny, jak biały baranek.

Gdy się już zupełnie przed mniemanym sędzią uniewinnił, stanął przed okazałym gmachem, na froncie którego był napis: *Municipio.* Odważnie wszedł do tego gmachu.

Dyżurny komisarz miał wiele pracy, zanim z obfitych słów i jeszcze obfitszych gestykulacyi wyrozumiał, o co właściwie chodzi gondolierowi.

Pomyślawszy chwilkę, zapytał go:

— Czy poznasz zdaleka swoją gondolę?

Roześmiał się z zapytania Matteo.

— Prędzej rodzona matka swego dziecka nie pozna — odrzekł dumnie i głośno.

— Gdzież oni mogą być teraz?

— W drodze do cmentarza przy wyspie św. Michała.

— Pójdź ze mną.

Urzędnik municypalny zbiegł szybko po marmurowych schodach i skoczył do małej łódki z maszyną parową. Łódka ta była znaną jako postrach przemytników. Lotem strzały dopędzała każdego z nich na otwartem morzu.

Za urzędnikiem wszedł do łodzi Matteo, a za nim jak dwa czarne duchy skoczyli strażnicy uzbrojeni.

Ozwała się maszyna parowa, a łódź jak ognisty kometa pomknęła naprzód.

Za kilka chwil byli już między miastem a wyspą św. Michała.

— Czy to jest twoja gondola tam na prawo?— zapytał urzędnik — przypatrz się dobrze Matteo.

— Żadna inna nie ma tak dumnej postawy na

morzu jak moja — odparł Matteo, przykładając rękę do oczu — poznaję ją po wyciągniętej szyi.

Urzędnik kazał zwolnić parę i stanął na przodzie pokładu, aby obserwować zagadkową gondolę. Skinął na gondoliera.

— Cóż tam widzisz Matteo? — zapytał.

— Gondola stoi w miejscu... Jeden z gondolierów siedzi przy damach... podnosi rękę... chwieje się... i pada do morza!... Drugi biegnie ku damom i... klęka... ten co wpadł, wychyla się z wody... i bierze za gardło klęczącego...

Para świsnęła, a za kilka sekund przybiła łódź do zagadkowej gondoli...

Urzędnik widział w tej chwili to samo, co wprawne oko marynarza z daleka dojrzało.

Jeden mężczyzna klęczał u nóg dwóch dam, a drugi, który się z wody wynurzał, trzymał go za kołnierz.

— *Brigante!* — ryczał topielec — to nie było w naszej umowie! Moja kurta welwetowa przepadła!

— Aresztuję was w imieniu prawa! — krzyknął w tej chwili urzędnik z łodzi, a dwaj strażnicy skoczyli jak koty do zbrodniczej gondoli.

Obie kobiety zdawały się tak odurzone tym niespodziewanym wypadkiem, że dotąd nie mogły przyjść do siebie. Młodsza trzymała silnie za rękę klęczącego gondoliera, ale słowa żadnego wyrzec nie mogła.

Strażnicy chwycili się teraz do obydwóch.

— *Brigante!* — zawołał teraz urzędnik do markiza.

— To markiz Cadoro — szepnęła machinalnie pani Izabela.

— Nie jestem rozbójnikiem — odpowiedział markiz — ani nawet markizem Cadoro, tylko portyerem z *Albergo Nazionale*, a obecnie grywam rolę Calchasa w *Pięknej Helenie*. Dzisiaj umówiłem się z tym oto jegomością, że dla zabawy jego krewnych odegram rolę zakochanego markiza. Wywiązałem się sumiennie z mego zadania, a nawet piękną cudzoziemkę byłbym już pocałował, gdyby mój towarzysz nie był nagle gondoli skierował i nie rzucił mnie do morza!... Patrz pan, nowa kurta na nic poszła!...

Urzędnik zwrócił się ku damom.

— Czy to prawda, piękne panie? — zapytał z uśmiechem.

Pani Izabela nie mogła jeszcze myśli swoich pozbierać. Przytomniejszą okazała się Adela.

— Czy potrzeba tego było, panie Władysławie? — rzekła do klęczącego gondoliera — czy przekonałeś się pan ostatecznie?...

— Przekonałem... przekonałem się! — wołał szczęśliwy — ale pani sama chciałaś, abym na morzu...

— Na morzu inaczej to wygląda, nieprawdaż?— zakończyła ten postronny dyalog Adela.

A zwracając się do komisarza, ozwała się:

— Wszystko to prawda, co mniemany markiz powiada. Była formalna o to umowa. Mój... mój mąż chcąc odegrać rolę Ottela, wyprawił mi tę maskaradę. Welwetowa kurta i kąpiel morska będzie wynagrodzoną. Mieszkamy w hotelu Luna.

Gdy Matteo wszystko to potwierdził, cofnął się urzędnik municypalny z uszanowaniem do swojej łodzi zabrawszy tylko z sobą nieszczęśliwego topielca, aby przy gorącym kotle ograł się i osuszył.

* * *

W kilka tygodni po tym wypadku na morzu, wróciła młoda para już jako legalne małżeństwo do progów rodzinnych, do owych poczciwych polskich klusek, o których pani Izabela z taką tęsknotą pod włoskiem niebem mówiła. Zaszła tylko ta mała niespodzianka, że zamiast mąki zastano w białym dworku sekwestratora. Nie było nawet żadnego indyka ani tłustego cielęcia, jak to ciocia Klocia ze łzami raportowała, bo jakiś lichwiarz wszystko zabrał przed tygodniem.

P. Władysław wierzył jednak w szczęśliwą gwiazdę swoją, a uspokoiwszy łzy pani Klotyldy tradycyjnem naszem: „Jakoś to będzie", zawiózł żonę i obie ciocie do swojej wioseczki.

Trzy pograniczne powiaty długo nie mogły się uspokoić. Adela była bohaterką, dla innych bohaterem był p. Władysław.

— Nie myślałam, aby to stadło się związało, rzekła raz w kościele parafialnym p. Antonina do Izabeli.

— Ja sama nie myślałam, Adela miała inne lepsze partye, ale on tak szalał za nią! Gonił za nami po lądzie i po morzu i kilka razy o mało się nie utopił. *Noblesse oblige!*

— Myślałam, szepnęła z drugiej strony do pani Izabeli p. Adamowa, myślałam, że Adela nie da się złapać poczciwemu p. Władysławowi.

— Gdzietam, ona szalenie go kochała! Poczciwiec ociągał się z ostatniem słowem, a ona dumna i pyszna rzuciła się w podróż daleką, aby tylko boleści serca swego nie zdradzić!

— Szczęśliwy p. Władysław!

— Bądź pani przekonana, i ona niemniej szczęśliwa!

— Czy to prawda, że Białobory sprzedają?

Tu ozwał się dzwonek od wielkiego ołtarza na *Agnus Dei* a p. Izabela zaczęła bić się w piersi, jak przystało na pobożną matronę.

KONIEC.

Z PAMIĘTNIKÓW Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora

(Dalszy ciąg.)

Wraz za pocztą była wzmiankowana już dawniej „Iryna" i w koło niej cmentarz. Wypadło tu więc zatrzymać się nieco, aby pomodlić się na grobach rodzeństwa, a właściwie tylko dziadunia i cioci. Było to stałym zwyczajem, którego nigdy nie zaniedbywano, przejeżdżając koło cmentarza, choćby nawet jechano za pilnym interesem, na bal lub zabawę. Starsi modlili się i płakali, co i nas dzieci wnet do łez pobudzało, chociaż opłakiwanych osób prawie nie pamiętaliśmy wcale.

Po tym ostatnim etapie, w nastroju oczywiście już zasmuconym, ruszyliśmy dalej drogą „partykularną", pozostawiwszy na lewo „przysady" czyli wysadzany drzewami trakt, wiodący do ulubionego nam dzieciom Nieświeża. Na kurhanie tatarskim, zwanym wtedy „bateryą", a raczej z rusińska „batareją" (zapewne z powodu że na nim ustawiano działa w czasie rewii czyli tak zwanych „kampamentów", odbywających się na rozległych tych polach), klekotał bocian, jakby nas także żegnając po swojemu.

Popas wypadł nam w wielkiej karczmie, jedynej w okolicy i podziwianej, z powodu że była murowaną, posiadała kilka porządnych pokoi gościnnych, a nawet można tam było dostać czegoś do zjedzenia, według taksy, ustanowionej przez dziedzica. Pomieszczenie, a w zimie i opał, czyto na popasie czyto na noclegu we wszystkich karczmach na Litwie było wtedy bezpłatnem: płaciło się tylko, za to, co wzięto do zjedzenia i dla koni.

Wyjechawszy z popasu, do późna jeszcze jechaliśmy dalej traktem: przed na wpół sennemi oczami dziecięcemi szybko migające brzozy przydrożne przybierały kształty pieszych wojowników lub konnych rycerzy; powtarzaliśmy sobie przytem początek niedawno poznanego wierszyka:

Gdzie ciemny wąwóz skałami się jeży,
Jest wązkie miejsce, jak na szyk rycerzy...

Słysząc i czytając wiele o górach, skałach i wąwozach, wyobraźnia dziecięca tworzyła je sobie na równinach dawnego województwa nowogrodzkiego. Wszelkie opisy miejscowości wywierały wogóle na mnie w dzieciństwie wpływ znaczny; przytem umysł szukał zawsze w koło siebie czegoś podobnego. Tylko opisy morza, okrętów, burz morskich i t. p. mało jakoś wywierały na mnie wrażenia. Przy tej sposobności dodam uwagę, że podobno zawiele u nas prawią i czytać każą dzieciom tłomaczone z języków obcych opisy żeglugi, okrętów, przygód marynarskich i t. d., gdyż to wszystko niezbyt zajmuje dzieci i na niewiele im się przyda, z powodu że w kraju naszym morza nie ma, żadne dziecko go nie widziało, a znaczna część i nigdy nie zobaczy. Są zaś wiadomości potrzebniejsze i ważniejsze.

Po wyjeździe z noclegu, przewieźliśmy się przez Niemen, tu jeszcze dosyć wązki, ale prześlicznej barwy szafirowej, toczący dziwnie czyste swe fale (woda Niemnowa wyborną jest na herbatę). Okolica już się zmieniła: naokoło coraz wyraźniej zaczęły występować lasy i wkrótce już ich nie opuszczaliśmy: albo jechaliśmy lasem całe godziny, albo mieliśmy drogę ze wszystkich stron otoczoną lasem, „jak parawanem", według wyrażenia litewskiego.

W leśnej tej okolicy leżał właśnie Korotkinów, dokoła parawanem lasów otoczony, do którego dojechaliśmy około południa. W okolicach tych wiatry były rzadkością: i teraz panowała wkoło cisza, a z łagodnem ciepłem sierpniowem i z balsamicznym zapachem żywicy mieszał się dolatujący nas niekiedy ostry zapach dymu — może od palącego się opodal lasu, a może od siana, palonego umyślnie we dworach i we wsiach dla odstraszenia i wypędzenia komarów, które tu stanowiły dokuczliwą plagę.

Dwór i zabudowania dworskie wzniesione były na pagórku, w czworobok.

Wjeżdżało się przez bramę, której nigdy nie zamykano, gdyż pilnował jej ogromny brytan, zwany Kałmosem, którego szczekanie sprowadzało zaraz kogoś na ganek. Dwór obszerny, murowany, ale bez piętra, rozkładał się szeroko i przysadzisto w kształcie krzyża, a wybielony świeżo, z czerwonym dachem, takiegoż koloru drzwiami i okienicami, wyglądał dosyć poważnie. Ogród po za dworem spuszczał się na dół i przytykał do lasu. Pod ganek nie podjechaliśmy, bo i ganku właściwie nie było, lecz zwyczajem, w Korotkinowie przyjętym, a naszemu Antoniemu wiadomym, zajechaliśmy przed stajnie i tam wysiadłszy, ruszyliśmy ku domowi. Nade drzwiami głównemi dostrze-

głem okrągłą tabliczkę, a na niej wymalowany herb pradziadka Fruktusa — Sreniawę (krzyż czerwony nad białą rzeką) i jego cyfrę F. B. Po kilku schodach weszliśmy do obszernej, lecz ciemnej sieni, gdzie spotkał nas wyrostek kilkunastoletni, ubrany w białą odzież płócienną i czerwony pas, ale bez obuwia. Ten otworzył nam milcząc drzwi na lewo, do przedpokoju, zkąd prosto znaleźliśmy się w dużej izbie, oświetlonej z dwóch stron dwoma rzędami okien.

Na klamce drzwi i na oknach dostrzegliśmy zawieszone wiązki jakichś suchych korzonków; podłoga była wysypana świeżym „ajerem” (tatarakiem), a oprócz dużego czarnego stołu pośrodku i kilku takichże stołków, nie było tu żadnych innych mebli. Na oknach, niczem nieosłoniętych, brzęczały roje much, pomimo że widocznie bywały tępione, staroświeckim obyczajem, przy pomocy wiszącej przy jednem z okien łopatki czyli „klapki” na muchy, zrobionej z kawałka twardej podeszwy. Kazano nam, dzieciom, zatrzymać się w tej izbie, a starsi, ostrożnie drzwi otworzywszy, zajrzeli do następnego pokoju, „bawialnego” zapewne.

Łatwo się domyślić, że zaciekawieni do najwyższego stopnia, pomimo pewnego wzruszenia, zapuściliśmy ciekawy wzrok przez drzwi i oczom naszym przedstawiło się dziwne widowisko: pośrodku dość dużej sali, spuszczał się na dwuch grubych sznurach kawałek deski, służący za huśtawkę, a na niej bujała się zwolna jakaś mała i sucha postać, bardzo negliżowo ubrana, której ruchom umiarkowanym regularnie wtórowoło skrzypienie grubych kółek żelaznych, podtrzymujących huśtawkę.

Ujrzawszy nas, mała postać zeszła bez pośpiechu z huśtawki i znikła za następnemi drzwiami. Wtedy weszliśmy wszyscy do sali. Znaleźliśmy tu ten sam ajer i dzięgiel, a oprócz huśtawki, staroświeckie meble „czeczotkowe”, pokryte materyą w białe i czerwone pasy, podobną komodę z bronzami, wreszcie mały jakby fortepianik. Nad kanapą wisiało lustro w ramach złoconych, starannie od much przykryte muślinem, a z obu stron dwa staroświeckie portrety na płótnie malowane, przedstawiające: jeden biskupa z okropną żółtą twarzą, drugi — uśmiechniętego szlachcica o zawiesistym wąsie, w kontuszu i z orderem św. Stanisława. Na oknach, przybranych w pstre firanki, były wazony z ulubionemi wówczas na Litwie roślinami: geranium, muszkatelem, łzami Wenery i wąsem polskim, którego liście jedzą wiewiórki. Była też tu i wiewiórka w klatce, mającej kształt młynka, którego koło zwierzątko ciągle skacząc obracało. W kąciku stał dziwnie wyłamany stoliczek „kątowy” (kształtu trójkąta), a na nim jakieś pudełko za szkłem i jeszcze jakieś „cacka”, które dzieci lubią oglądać nieinaczej jak biorąc do ręki i z objaśnieniami kogoś „pokazującego”, a że tu o czemś podobnem i myśleć nie było można, niebardzo więc nas to zaciekawiło.

Stanęliśmy więc cichutko przy piecu, na którym również była cyfra F. B., podobnie jak i na wszystkich sprzętach. Oczekiwaliśmy minut z dziesięć.

Nakoniec otwarły się zwolna drzwi przyległego pokoju i najpierwej wysunęła się z nich wiązka korzeni dzięglowych na małej pałeczce, a za nią sam pradziadek Fruktus, prowadzony przez swą małżonkę. Był to staruszek małego wzrostu, suchy i skurczony, ale zupełnie bez zarostu, co zawiodło nasze dziecinne oczekiwania, gdyż na mocy przysłowia z bajki białoruskiej „dzied kokoć, boroda na łokoć” (dziadek jak paznogieć, broda na łokieć) sądziliśmy, że każdy mały staruszek powinien mieć długą brodę. Na ramiona spadały mu długie promienie białych włosów, ale, niestety, nie własnych, lecz siwej peruki. Ubrany był we frak staroświecki granatowy z krótkim stanem i stalowemi guzikami: do tego kamizelka czerwona atłasowa, a na szyi grubo okręcona czarna chustka, z pod której wystające olbrzymie kołnierzyki, zakrywały twarz z obu stron prawie aż do oczu. Fizyognomia staruszka była poważna i łagodna, oczy szafirowe jasne i przenikliwe. Na twarzy nie było zmarszczek, tylko wiek nieubłagany mocno zaostrzył podbródek i nos, zbliżając zarazem do siebie obie te szlachetne części twarzy. Chód starca był jakiś szczególny, prędki, a drobnym krokiem, ale niestały, z przestankami i odpoczynkami. Prowadziła go żona, znacznie od niego wyższa i lepszej tuszy, o twarzy okrągłej bez zmarszczek ale równie prawie białej jak włosy, z żywemi jeszcze czarnemi oczami. Pradziadek najpierwej dał nam wszystkim powąchać dzięglu była to prezerwatywa od cholery, która wtedy była pojawiła się w Słucku. Staruszek obawiał się niezmiernie „tej choroby”, chociaż nigdy nie wymówił jej imienia, unikając także, jak Gete, wszelkiej wzmianki o śmierci. Dzięgiel uważał za najlepsze lekarstwo i dlatego tyle było tego korzenia w pokojach, a nosząc ciągle ze sobą jedną wiązkę tego specyału w kieszeni, do własnego użytku, a drugą na laseczce, — tę ostatnią podawał do wąchania każdemu kto przybywał, pierwej nim do niego przemówił.

Po odbyciu tej ceremonii, która nie wiem doprawdy, jak mogła odbyć się bez głośnego śmiechu, sędziwa para usiadła na kanapie. Pradziadek Fruktus z galanteryą staroświecką witał swych gości, wypytywał ich o zdrowie i okoliczności familijne.

— Tak jest, tak jest, powtarzał (było to jego przysłowie, gdyż wtedy wszyscy starcy miewali przysłowia), tak jest, niebardzo jakoś zdrowo na świecie... Różne choroby... Ale wola Boska... Zresztą mamy dwa najlepsze lekarstwa — dzięgiel i dziegieć. Tak jest, no jest jeszcze i trzecie — spirytus nalany na pieprz czerwony turecki. Tak jest, spróbujcie tu u mnie tych lekarstw. Tak jest, choć jesteście zdrowi, ale nie zaszkodzą.

Nastąpiła prezentacya dzieci. Pradziadek Fruktus pogłaskał każde z nas po głowie, potem zapytał każdego, jak się nazywa, jak nazywa się ojciec i z kogo się rodzi, kto jest z domu matka.

— Tak jest, mówił po otrzymaniu zupełnie zadawalniających odpowiedzi, dobrze, tak jest. A to rzeczy najważniejsze. Znałem, tak jest wielu młodych, którzy wcale nie wiedzieli z czego się rodzą i kto była z domu matka ich ojca. Tak jest. Tym sposobem ludzie zapominają o stosunkach rodzinnych szlacheckich, przestają cenić związki pokrewieństwa. Tak jest; ileż to razy zdarza się, że ktoś dostaje spadek po wuju, o którym nigdy nie słyszał, albo spotkawszy się z kimś przypadkiem dowiaduje się z podziwieniem, że to jego stryjaszek lub dziadek... Źle, tak jest. Dawniej ludzie nietylko umieli na pamięć wszystkie związki rodzinne własnej familii „aż do trzeciego pokolenia” (było to niejako prawidło obowiązujące), ale także znali na palcach koligacye sąsiadów, szlachty okolicznej, czasem nawet całej szlachty litewskiej.

— Pamiętam, mówił dalej staruszek po odpoczynku, dziwnie przyjemnym, przyciszonym głosem, mieszkał niegdyś w Słuczyźnie pan Czaplejewski, człek jeszcze niestary, który słynął w całej Litwie, jako żyjąca kronika i chodzący herbarz wszystkich znaczniejszych rodzin szlacheckich. Trzymał on dzierżawą od Radziwiłłów wioseczkę jakąś, której imienia już nie pamiętam. Doskonałą swoją znajomością genealogii szlacheckiej dopomógł niejednemu w zawikłanych sprawach i procesach sukcesyjnych. Był to szlachcic niebiedny i miał ładne koniki, ale żałował ich bardzo i nierad daleko wyjeżdżał, zwłaszcza po złych drogach na wiosnę lub w jesieni. Otóż trafiło się raz w Nieświeżu, że młody jeszcze wówczas książę Radziwiłł Panie Kochanku, który także przypisywał sobie znajomość pokrewieństw rodzin szlacheckich, i niebardzo dbał o to, gdy czasem w swoich wypadkach minął się z prawdą, poprzeczał się ze swymi Albeńczykami o jakieś genealogie. Przekonywano go, że nie ma słuszności, ale książę stał przy swojem. Wspomniał ktoś o Czaplejewskim; książę wnet każe posyłać po niego, żeby natychminst przyjeżdżał do Nieświeża; „zobaczycie, panie kochanku, mówił, że Czaplejewski przyzna mi słuszność”. Do Czaplejewskiego, było z Nieświeża mil ośm, a czas był okropny — słota październikowa. Zdawałoby się, że książę mógł napisać do Czaplejewskiego, prosząc o rozstrzygnięcie listowne swojej wątpliwości; ale widać nie przyszło to do głowy dumnemu panu, który przywykł do tego, aby wszyscy natychmiast stawili się na jego rozkazy. Zaraz więc ruszył na całą noc posłaniec konny po Czaplejewskiego. Ale stało się tak, że szlachcic, nieco dotknięty takiem wezwaniem bez ceremonii, a nadto żałując koni, nie pojechał i odpowiedział posłańcowi, że w taki czas i po złej drodze przybyć nie może, lecz gotów dać księciu odpowiedź listowną, jeżeli ten w czem jego rady potrzebuje. Książę Panie Kochanku nie przyjął tej wymówki i, cóż powiecie, przysłał po raz drugi wezwanie. Szlachcic uparł się także przy swojem i nie pojechał. Mówiono później, że książę postanowił darować mu sześć koni i sześcioletnią dzierżawę, gdyby był jego fantazyi dogodził i przyjechał; ale podobno Czaplejewski tego nie żałował. Więcej mógł żałować, że od owego czasu zraził sobie wszechwładnego na Litwie księcia, który, po wyekspirowaniu kontraktu, wyrzucił go z dzierżawy; mówiono nawet, że gdy Czaplejewski nierychło po św. Jerzym ustępował z dzierżawy, książę przysłał swoich myśliwców, ażeby go wyrzucili i kazał zamurować kominy i zamknąć studnię, co wszystko działo się wtedy nieraz, a i teraz podobno bywa, tak jest, bywa, zakończył pradziadek.

— Gdyby Czaplejewski służył był w wojsku, ciągnął dalej po przerwie pan Fruktus, musiałby był usłuchać swego jenerała, gdyby go ten wzywał, choćby tylko dla zaspokojenia swej ciekawości. Pamiętam słyszałem niegdyś coś podobnego o pewnym oficerze, który słynął z tego, że umiał na pamięć cały kalendarz. Dowiedziawszy się o tem jenerał, posyła w nocy po oficera, ażeby stawił się natychmiast. Biedny oficer, już to w obawie, czy nie czeka go kara za jakie przekroczenie, już to chwilowo łudząc się nadzieją, że może pan jenerał chce go uwiadomić o awansie lub nagrodzie, pędzi o mil kilka, co koń wyskoczy, do głównej kwatery. Zastaje jenerała z kalendarzem w ręku.—Panie poruczniku, odzywa się, czy to prawda, że waszmość umiesz na pamięć cały kalendarz? — Tak jest, panie jenerale, odpowiada niemile zdziwiony oficer, który spodziewał się czegoś innego.—A więc powiedz pan, ciągnie jenerał, jakich świętych mamy 12 października? — Maksymiliana i Wilfryda, odpowiada oficer. — No

a 6 lipca? — Izajasza i Dominiki.—Piątego kwietnia? — Wincentego Ferraryusza. — Wybornie, dosyć; widzę że istotnie pan umiesz kalenarz. Hm... to rzecz niepospolita. Żegnam pana, poruczniku możesz jechać do siebie. Tak odprawiony porucznik zapewnie złorzeczył w myśli ciekawemu jenerałowi, ale, cóż robić, subordynacya wojskowa...

Takto, zakończył pradziadek, jeżeli jest prawdą, że nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło, to czasem i dobre wychodzi na złe, zwłaszcza jeżeli kto bez potrzeby chce korzystać z wiadomości bliźniego, dla zaspokojenia tylko próżności lub ciekawości. Wszak prawda, tak jest, Róziulu?

Róziulą była pani Fruktusowa, która, choć dobrze głucha, zrozumiała widać zwrot męża do siebie, gdyż wnet odpowiedziała:

— Niezawodnie, Fruciu, ale *nie irytuj się.*

Ten ostatni frazes sędziwa Róziula dodawała zawsze, gdy cokolwiek mówiła do męża, gdyż pilnie przestrzegała ażeby nigdy się nie irytował. Dowiedziałem się później, że oboje staruszkowie uważali, nie bezzasadnie, irytacyą za największego wroga zdrowia i długiego życia i że całe życie pradziadka Fruktusa było dowodem, że doszedł do tak późnego wieku głównie może dlatego, że starał się nigdy nie martwić. z rezygnacyą i obojętnie, a częstokroć nawet wesoło przyjmując wielkie i małe zmartwienia, straty, przykrości i dolegliwości. Pradziadek sam o tem dobrze pamiętał, ale pomimoto jego Róziula ostrzegała go o tem ciągle, nieraz niebardzo stosownie.

— A wiecie wy, dzieci, zagadnął po chwili pradziadek, co to za rysunek widzieliście nad drzwiami?

— Wiemy, rzekł śmiało Oleś, to herb Sreniawa — krzyż czerwony nad białą rzeką. Nadał go Władysław Łokietek czy też, podług innych, Władysław Jagiełło rycerzowi, który schwytał znacznego jakiegoś wodza krzyżackiego, nad brzegiem rzeki, w chwili gdy ten miał ratować się ucieczką.

— Tak jest, tak jest, pochwalił zadowolniony pradziadek, chociaż są i inne podania co do tego herbu. No, a wasz herb jak się nazywa?

— Rawicz czyli panna na niedźwiedziu, a w hełmie niedźwiedź z kwiatkiem, podchwyciłem prędko, pragnąc odznaczyć się także. Początek tego herbu w Anglii albo u Obotrytów, ludu słowiańskiego, który mieszkał nad morzem Baltyckiem. Była tam niegdyś królewna, którą po śmierci rodziców, brat skrzywdził, odebrawszy przypadającą na nią część skarbów rodzicielskich. A że był to człowiek okrutny, a czasy barbarzyńskie, podobno nawet brat chciał zamordować siostrę. Uciekła więc panna do lasu i spotkawszy tam niedźwiedzia, rzuciła mu na grzbiet swoją chusteczkę i wsiadła nań, jak na konia. Niedźwiedź, z woli boskiej, uniósł ją daleko, do innego kraju, gdzie spotkała dzielnego królewicza, który ją wziął za żonę. Królewicz nazywał się podobno Raw, a na pamiątkę cudownego wydarzenia, przyjął za herb pannę na niedźwiedziu i nazwał ten klejnot Rawiczem.

— Tak jest, tak jest, dobrze i porządnie opowiedziane. No a ty mała (tu zwrócił się do Malwinki) wylicz mi wszystkich królów polskich.

Mała siostrzyczka wywiązała się dosyć dobrze z tego zadania; utknęła wprawdzie nieco po Krzywoustym i musiał jej Oleś przyjść z pomocą.

— Tak jest, tak jest, mówił staruszek, a wiecież wy że ja, którego tu widzicie, na własne oczy oglądałem aż trzech ostatnich królów polskich? Tak jest, tak jest, w latach młodzieńczych widziałem przejeżdżającego przez Białystok króla Augusta III Sasa, później miałem sposobność pokłonić się królowi Leszczyńskiemu w Lunewilu we Francyi, a tego ostatniego... hm... tak jest, pamiętam dobrze; toć przecie, gdy po raz pierwszy był na Litwie i prezydował w trybunale mińskim, jako „najwyższy sędzia narodu", ja tam byłem już jako sześcioletni sędzia, hm... tak jest, to znaczy już kończący drugie trennium... No, bo już ja jestem bardzo stary, dodał po chwili, tak jest, stary. No, panie Olesiu, ile mi dałbyś lat?

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Oleś nie dał odpowiedzi, ale figlarna Malwinka rzekła śmiało:

— Siedmdziesiąt, pradziaduniu.

— *Aciu, aciu* (w mowie dziecięcej znaczy *dziękuję*) panienko, tak jest, żeś taka grzeczna i lat mi ujęła; ale nie pomiarkowałaś pewno, że to już lat z 80 jak król Agust III umarł, a ja, tak jest... tak jest... mam już około dziewięćdziesięciu... Tak jest, nieprawdaż Róziulu?

— Niezawodnie Fruciu, ale nie irytuj się, odpowiedziała Róziula.

(*D. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z AFRYKI.

(Spóźniona.)

Nagadeh, 5 Lutego 1882 r.

Już od dosyć dawna nic wam o tutejszym kraju nie pisałem, lecz częste podróże nie pozwoliły mi zająć się regularnie korespondencyą; dziś dopiero zamieszkawszy na stałe w Nagadeh pospieszam donieść wam nieco nowego z tych okolic.

Jak się z dzienników dowiaduję u was tam w Europie deszcz, śnieg, mróz i zawieje na porządku dziennym, podczas gdy tutaj cieszymy się wiosną w całem znaczeniu tego słowa.

Wody Nilu użyzniwszy tłustym mułem okoliczne grunta, powróciły znów do starego łożyska rzeki i płynąc cicho wśród pól zasianych bawełną, durrah i indygo, odbijają w swych falach grupy palm i sykomorów, ocieniających nadbrzeżne chaty Arabów. Żadną chmurką niezaćmione słońce świeci jasno i wesoło a cała natura budzi się z uśpienia w jakiem ją letnie gorąca pogrążyły.

Cały kraj wygląda jak jeden wielki ogród wszędzie ta piękna świeża zieloność tak miła dla oka; ful (*) i hummus (**) prześlicznie kwitną a mnóstwo róż, jaśminów i innych zwrotnikowych roślin, napawają powietrze balsamicznym zapachem.

Ogrody pełne dojrzałych owoców, figi, limony, pomarańcze i mandariny złocą się wśród ciemnej zieleni połyskujących liści a winna latorośl darzy nas po raz drugi w tym roku przepysznemi winogronami.

W plantacyach robota się już rozpoczęła, setki murzynów i mulatów ścinają soczystą trzcinę cukrową a inni jucząc nią klęczące wielbłądy nucą wesołe piosenki, wszędzie wre ruch i życie, jeden dozorca tylko z olbrzymim korbaczem (***) w ręku przechadza się w poważnem milczeniu pociągając z długiego czybuka, który mały niewolnik za nim nosi.

W śród łanów bersimu i helby (rośliny pastewne) bielą się małe szopy ze słomy durrah wokół których pasą się spokojnie stada owiec, kóz i bawołów a pasterze z długiemi laskami w ręku strzegą ich trzód przygrywając od czasu do czasu na krótkich andach. (*)

Wracając z przechadzki już za wejściem gwiazd i przyglądając się setkom błyszczących ognisk z owych szop, słysząc w oddali cichnące głosy piszczałek mimowoli uleciałem myślą w owe czasy, gdy Zbawiciel przyszedłszy na świat w podobnej szopce został powitanym przez ubogich jak On pastuszków.

Tutaj bowiem zdala od cywilizowanego świata wśród cichego życia z naturą, owe pierwotne biblijne zwyczaje przechowały się w całej czystości Twarze tutejszych arabskich pasterzy, ich ubiory i całe domowe życie, tchną tą samą niewinną prostotą o jakiej nam ewangielia opowiada a która dla nas mieszkańców północy ma tyle czarownego uroku.

Wszak to dziś wigilia pomyślałem sobie, i zamiast wracać do domu gdzie nikt na mnie z opłatkiem i wieczerzą nie oczekiwał, opuściłem ścieżkę i zaszedłem do jednej z owych szopek prosząc o gościnę.

Właściciel ogrodzenia oddawszy mi „salam" zaprosił do wejścia z tą serdecznością jaka tutejszych Arabów cechuje. Ponieważ jednak kobierca u siebie nie miał, rozesłał więc biedak burnus na ziemi na którym tuż przy ognisku miejsce zabrałem.

Kilkoro drobnych dzieciaków cisnęło się do mnie oglądając strzelbę i pas z nabojami; gospodarz skarcił tę natrętną ciekawość i rozkazał im odejść; lecz na moją prośbę pozostały w szopie aż do wieczerzy, którą ich matka wkrótce przyniosła.

Na drewnianej tacy leżał mały płaski bochenczek chleba z którego pasterz ułamawszy kawałek i posypawszy go solą podał mi mówiąc:

— Chwała Bogu przybyłeś ze zdrowiem.

— Niech Ałłah pomnoży dobro twoje, odrzekłem zajadając podany mi chleb.

Jest to starożytny jeszcze zwyczaj jedynie pomiędzy ubogą klasą tutejszego ludu istniejący i nie jest on bynajmniej czczą ceremonią, i gdy raz z właścicielem domu podzieliło się chlebem i solą, można być pewnym, iż w razie wypadku odda on swe własne życie dla obrony gościa.

Po spożyciu skromnej wieczerzy, którą trochę mleka, kawałek sera i kilka słodkich cebul stanowiło, zabrałem się do powrotu obiecując iż przybędę nazajutrz i przyniosę nieco prochu o który mnie gospodarz prosił.

Spiesznym krokiem zdążałem ku duarowi, gdzie w domu pewnego kopta chrześcianina tymczasowo na mieszkanie stanąłem.

Za mem przybyciem do domu będąc nieco znużonym udałem się bez zwłoki na spoczynek. Około północy zbudził mnie dotkliwy ból w piersiach i jakiś dziwny łoskot tuż pode mną. Zapalam świecę i na mój podziw spostrzegam iż cała izba pełną jest dymu a z dolnych mieszkań dochodzą mnie przeraźliwe głosy wzywające ratunku. Spieszę tedy do drzwi, lecz takowe na moje największe zdziwienie na zewnątrz zaryglowane znajduję: zwracam się więc ku małemu otworowi, który miejsce okna zastępuje i jak szalony zaczynam wyrywać kawałki kamieni i trzciny ze ściany, dla znalezienia sobie wyjścia. Po chwili świeże powietrze

(*) Ful — rodzaj naszego bobu.

(**) Hummus — słodki groch z którego tutejsi mieszkańcy robią rodzaj ciasta.

(***) Korbacz — pletnia ukręcona ze skóry hipopotama.

(*) And — rodzaj naszej piszczałki.

wpadające przez rozszerzony otwór orzeźwiło mnie nieco. Wyglądam tedy na zewnątrz i wśród podworca spostrzegam kilku murzynów z płonącemi pochodniami usiłujących zapalić magazyn przytykający do domu. Pochwyciwszy coprędzej za rewolwer przeciskam się przez okno i czepiając się wystających kamieni zeskakuję w podworzec.

Wystrzeliwszy dwukrotnie na ślepo, spieszę ku izbie zkąd ogień płomieniem buchał, lecz w tejże samej chwili wali się z trzaskiem kawałek ściany a wśród dymu spostrzegam wyskakującą murzynkę, która ciągnąc za sobą matkę właściciela domu woła ku mnie:

— Panie, zabij Belala i Bachitę, oni chcą nas zamordować i dom spalić.

— Czy pani żyje? pytam.

— Tak, odpowiada mi murzynka.

Spieszę tedy ku magazynowi i z pomocą służącego Kopta, który do mnie przybiegł, uchwyciłem Belala zdążającego ku bramie, następnie zmierzywszy rewolwerem ku innym wykrzyknąłem:

— Poddajcie się bo inaczej łby wam roztrzaskam.

Widząc ich przywódzcę w mej mocy reszta poddała się bez oporu a rzuciwszy pochodnie i długie *nabuty* (*) upadli na kolana błagając o litość.

W tym momencie kilkunastu Koptów i Arabów wpadłszy przez wyłamaną bramę, zajęło się co prędzej gaszeniem pożaru, a służący pod mem przewodnictwem wiązali zbuntowanych murzynów.

Za przybyciem *omdego* (**) opowiedziałem naprędce cały wypadek i poleciwszy mu uwięzienie winnych powróciłem ku domowi, gdzie dzięki gorliwości sąsiadów, ogień prawie zupełnie był już ugaszony.

Odwiedziłem następnie chorą gospodynię domu i po zapewnieniu iż całe niebezpieczeństwo minęło, zapytałem murzynkę o przyczynę pożaru. Z jej opowiadania płaczem i częstemi wykrzykami przerywanego, dorozumiałem się tyle, że zbuntowani niewolnicy zamknąwszy drzwi haremu na zewnątrz, wrzucili przez małe okno u góry zapaloną matę silnie oliwą napojoną; w mgnieniu oka tedy ogień ogarnął wnętrze pokoju i gdyby nie przytomność umysłu oraz nadzwyczajna siła murzynki, która z narażeniem własnego życia, kawałek płonącej ściany wyłamała, to bezwątpienia rodzina cała i dom stałyby się pastwą płomieni.

Zaleciwszy murzynce pilne czuwanie nad chorą, udałem się wraz z *omdim* do więzienia dla spisania protokułu z winnych.

Z toku wstępnego przesłuchania przekonałem się iż bunt ten był już oddawna ukartowany a powodem takowego było rozdrażnienie i ogólna nienawiść muzułmanów ku chrześcianom. Od roku już bowiem blisko, to jest od czasu wojny tunetańskiej, wielu wysłanników arabskich z Tunisu i Tripolis przebiega kraj podburzając tutejszych spokojnych mieszkańców do napadu i mordu chrześcian, a ostatnie wypadki w Cairo, Suez, Assiut i wielu innych miastach potwierdzają to w zupełności. Najwidoczniejszym zaś dowodem, że rząd podobne rzeczy toleruje, jest to, iż tutejszy kaimakam (gubernator), któremu cała sprawa powierzoną została, winnych po kilkodniowem więzieniu zupełnie uwolnił. Możecie sobie wystawić jak podobne postępowanie władzy na sfanatyzowane umysły tutejszych muzułmanów oddziaływać musi.

Ponieważ jednak osobiście w całej sprawie jestem interesowany, wyjeżdżam zatem natychmiast wraz z niedawno przybyłym właścicielem domu, do kaimakama, aby go zmusić do energicznego przeprowadzenia śledztwa i przykładnego ukarania złoczyńców.

Stefan Marusieński.

(*) Nabut — rodzaj długiej twardej maczugi.

(**) Omdi — naczelnik miasta.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Straszne skutki zaniedbanego wychowania i Podzielona osada, czyli skutki rządności i niedbalstwa. Dwie powiastki napisane przez *Lusławę*. Warszawa w drukarni Emila Skiwskiego. — **Systematyczny wykaz owadów żyłoskrzydłych.**

Pierwsza powiastka Lusławy *Straszne skutki zaniedbanego wychowania*, przedstawia nam karbowego zamieszkałego we wsi Okrągłowie, Szymona Nodaka, który za młodu przez nieoględność swój majątek stracił, pozostawiając sobie ledwie jedną chatę, dziś czysto obieloną i ogród warzywny z kilku owocowemi drzewami. Ale Nodak służył we dworze, brał ordynaryą i pensyę i dobrze mu się działo, bo na starość stał się bardzo oszczędnym, a choć oddawna już był żonaty, jednakże Bóg nie pobłogosławił go dziećmi. Pomimo to państwo go bardzo lubili i uważali, pozostał on kumem, trzymając do chrztu najmłodszego synka, do którego dziedziczka zmuszona była nająć mamkę Urszulę...

Ze łzami błogosławił stary Szymon Nodak nowonarodzonego. Powodem tych łez stał się brak dziecka...

Ale dobra pani, chcąc ułagodzić ten żal uczciwego Szymona, poradziła mu wzięcie na wychowanie córkę Urszuli, owej mamki, która nie sprzeciwiła się temu... Ucieszony Szymon tą radą, pobiegł do swojej żony a gdy i ta potwierdziła wolę męża, biedne niemowlę poszło do nowo obranych rodziców.

Na niczem nie zbywało małej sierotce, wychowywano ją w dostatku i starano się o wszystko... Marysia rosła swobodnie!

Przybrani rodzice pobłażali i dogadzali, a nawet najęli w parę lat potem organistę, aby ją uczył na książce. Ale rozbałamucona dziewczyna nie myślała o tem, a zbytkując stała się niejednokrotnie przyczyną kłótni pomiędzy starymi dobrymi jej opiekunami...

Tak od łyczka, do rzemyczka, wzrosłszy w pobłażaniu, Marynia nauczyła się wybierać wróble, kraść owoce, aż wreszcie za namową Urszuli, która wyszła za mąż do sąsiedniej wsi za kucharza, zaczęła podbierać starego Szymona, a kiedy on dopatrzył się kradzieży, złożyła to na Szymonowę. Rozgniewany starzec rzucił się na swoją żonę, kopał ją, bił... aż wreszcie stara wiekowa kobieta, ułożywszy się w łóżko zmarła...

Wtedy, za namową Urszuli, Marysia już dorosła, zaczęła się, coraz surowiej i gorzej obchodzić ze starcem, a w końcu, kiedy jej gruntów i chaty zapisać nie chciał, okradła go i uciekła...

Wtedy Szymon przekonał się jak niesłusznie obchodził się ze swoją małżonką... Rozpacz go ogarnęła, zwłaszcza, że ta którą tak kochał, ta niegodziwa Marysia, ani chciała powrócić do swego opiekuna. Wtedy dobra pani odwiedziła starego Szymona, a jej gospodyni wdowa, zdecydowała się wyjść za niego, aby go lepiej pielęgnować i doglądać.

Poczciwy Szymon z wdzięczności zapisał jej córce majątek, Marysia zaś, która była u swojej matki Urszuli, została wypędzoną z jej domu, bo Urszuli chodziło więcej o jej majątek niż o córkę.

Taka jest pierwsza powiastka Lusławy... Stek scen brzydkich i najniewdzięczniejszego przykładu... I ta powiastka ma być pisana dla ludu?

Gdzież tu ideał?

Marysia, sierota, zamiast wdzięczności, jest najgorszą dla swoich przybranych rodziców.

Gdyby autorka wykazując straszne skutki zaniedbanego wychowania, obrała za przedmiot swej opowieści własne dziecię jakiegokolwiekbądź wieśniaka, powiastka taka o wieleby korzystniej mogła oddziałać na cały stan rzeczy.

Tymczasem tu obca sierota — jakiż daje przykład? Prosty wieśniak pomyśli sobie: „Weźże tu takiego gałgana, otocz go opieką, a ona za to wywdzięczy się tak, jak owemu Szymonowi ta Marysia Urszulanka! Nie dość, że sama wyrosła na nic dobrego, jeszcze stała się przyczyną kłótni w domu i obrazy Bożej". Taki przykład nie może być pożądanym w literaturze ludowej.

Druga powiastka Lusławy *Podzielona osada, czyli skutki rządności i niedbalstwa*, opisuje nam bogatego kmiecia Bartłomieja Bruzdę, który swoje gospodarstwo rozdziela między dwóch synów: Maćka i Adama.

Maciek starszy — wychowywał się pod okiem uczciwego i pracowitego ojca; nauczył się też pracy, rozwinął się dobrze, a nawet nie obcą była mu książka i rachunki. Młodszego Adama wzięła na wychowanie babka, a rozpieściwszy przyczyniła się głównie do rozkrzewienia w nim wad próżniactwa i nieuctwa. Nic więc dziwnego, że chociaż ojciec dobrał obydwóm równie dobre żony i swoją fortuną równo dzieci podzielił, starszemu powodziło się znacznie lepiej, aniżeli młodszemu. Próżniak Adam nie doglądał gospodarstwa tylko jeździł po szynkach, a gdy mu już nie stało pieniędzy, za namową żyda, któremu sprzedał dom własnej matki, zabrał się do złodziejstwa...

Ma się rozumieć rzecz cała w końcu się wykrywa. Żyd uchyla się od współudziału, a Adam idzie na Sybir.

W powiastce tej nie ma scen rażących swoją szkaradą, ale niezaszkodziłoby wprowadzić wieśniaka na drogę, w której na pierwszym planie stałaby oświata... Tego jednak nie uwzględniła autorka, a nacisk na potrzebę oświaty tak w drugiej jak i w pierwszej powiastce tak jest nieznacznym, że nawet biegły czytelnik nie może się go tam dopatrzyć.

Oprócz tego, potrzeba do powiastki ludowej silnej plastyki i interesującej treści. Lud nie potrafi odszukiwać wątków psychologicznych, nie zatrzymują go artystycznie piękne obrazy, ale potrzeba mu na to miejsce jaskrawych kolorów i dowcipu, potrzeba mu udramatyzowania przedmiotu, czego właśnie brak najczęściej w ludowych powiastkach...

Do bardzo potrzebnych książeczek w naszej naukowej literaturze można zaliczyć *Systematyczny wykaz owadów żyłoskrzydłych polskich* to jest Wojsiłek, Chróścików, Żylenic, Złotooków, Sklepców, Widelnic, Jętek i Ważek, u nas dotąd znalezionych według układu D-ra F. Brauera, które zebrał i opatrzył głównemi synonimami Erazm Majewski.

Od nie wiem jak dawna, nasza młodzież w szkołach i po za szkołami używa nazw łacińskich do oznaczenia jakiegobądź polskiego owadu, o co ten stały i odwieczny mieszkaniec naszej ziemi mógłby się słusznie obrazić.

Dawniej jeszcze w XVI wieku nazywano go po polsku uczciwie, chociaż ludzie wówczas bez ceremonii zmieniali swoje nazwiska, skoro który z nich opuścił Polskę. Robaczki te pewnie nie opuszczały swej rodzinnej ziemi, a tem pewniej nie podróżowały do starodawnego Latium, ą jednak i ich ludzie przerobili na zagraniczny fason, zapomniawszy o pierwotnym ich pochodzeniu. Otóż pan Erazm Majewski poczęści odszukał ich dawne nazwy, poczęści brakujące dorobił i tak cały świat żyłoskrzydłych przerobił na Polaków.

Uskuteczniwszy tę pracę przedstawił ją sekcyi zoologicznej na trzecim zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie, gdzie zebrani dnia 25 lipca 1881 roku, przyznali pracy tej wielką wartość a jej wykonawcy niemałą zasługę.

Książeczka ta byłaby bardzo pożyteczna dla każdego domu, gdyby jeszcze przy nazwisku owada mieściła przynajmniej drzeworyt z opisem.

Bądź co bądź na teraz musimy i za to być wdzięczni panu Majewskiemu.

Wiktor Czajewski.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Dowiadujemy się że J. I. Kraszewski jest ciągle cierpiący, i w połowie przyszłego miesiąca wyjeżdża do Ems dla poratowania zdrowia; jednakże przed opuszczeniem Drezna ma zamiar ukończyć ważną rozpoczętą pracę p. t. „Żywot obożnego Prozora” głośnego za czasów Kościuszki i Stanisława Augusta Poniatowskiego, oraz następującą z kolei powieść z czasów Władysława Jagiełły, pod tytułem: „Semko”.

*** Podczas nadchodzących Zielonych Świątek ma się odbyć w Pradze zjazd przyrodników, lekarzy i pedagogów czeskich, na który i nasi uczeni zaproszeni zostali przez komitet. Uczestnicy zjazdu przemawiać będą tylko po czesku i po polsku. Zjazd podzielony będzie na cztery wydziały: 1) Lekarski, 2) Matematyczny, 3) Przyrodniczy i 4) Pedagogiczny.

*** Jedno z pism wiedeńskich podaje pochodzenie pieczonych rogali. Miało to być podczas oblężenia Wiednia przez Turków w końcu XVII wieku. Chcąc dać poznać Turkom jak wielkie mają zapasy żywności, piekarze wiedeńscy w celu pokazania oblegającym iż zdołają wytrzymać choćby najdłuższe oblężenie, posyłali im do obozu pieczywo, którego kształt naśladował ich półksiężyc. Amatorowie rogali ani się domyślają że pieczywo to wiąże się z dziejowym faktem oblężenia Wiednia.

*** Dnia 17 b. m. odbył się w Zurichu wspaniały pochód historyczny, z powodu uroczystości otwarcia kolei św. Gotarda. Rozpoczynali go heroldowie Szwajcaryi, Włoch i Niemiec w strojach XVI stulecia; za nimi postępowali starzy Helwetowie. Dalej Juliusz Cezar z rycerstwem rzymskiem, kilku cesarzy niemieckich z orszakiem, karawany handlowe, orszaki pielgrzymów, grupy wojenne, papież Juliusz II ze swoim dworem, grupy z życia artystycznego w Rzymie w czasach odrodzenia, bandy rozbójnicze, poczta przez górę św. Gotarda, grupy przemysłu, a w końcu symboliczne przedstawienie kolei św. Gotarda. Pochód ten przedstawiał nader zajmujący i malowniczy widok.

*** Do czego mogą doprowądzić przesadzone i najzupełniej nielogiczne pojęcia emancypacyi i równouprawnienia kobiet, dowodem podanie wystosowane do zarządu policyi w Nowym-Yorku, przez mistres *Lillie Devereaux Blake*, jedną z szermierek najzapamiętalej wojujących o prawa kobiet. W podaniu swojem domaga się wyznaczenia terminu do przyjęcia deputacyi kobiet, które pragną wstąpić do służby policyjnej i czuwać nad bezpieczeństwem współobywateli. Dzienniki amerykańskie szeroko rozpisują się w tej materyi i najdziwaczniejsze stawiają hipotezy.

*** Akademia peszteńska obchodziła pięćdziesiątą rocznicę swego istnienia. Uczonemu temu stowarzyszeniu zawdzięczają Węgry swój rozwój literacki i naukowy. W innych krajach podobne instytucye były wynikiem kwitnącego stanu intelektualnego, tu przeciwnie dopiero właśnie literackie i naukowe stowarzyszenia przygotowały i urzeczywistniły rozwój umysłowy narodu. Od powstania swego, węgierska akademia nauk ześrodkowała i popierała usiłowania uczonych i literatów, a wielką ich zasługą jest wyrobienie i oczyszczenie języka węgierskiego. Najpopularniejsi literaci i pierwszorzędni pisarze, połączywszy wspólną wiedzę i doświadczenie, pracowali nad doborem wyrażeń, objaśnieniem prawdziwego ich znaczenia i ustaleniem zasad gramatykalnych. Dzięki ich pracy i usiłowaniom, język węgierski stał się językiem literackim, giętkim i bogatym, zdolnym do wyrażania wszelkich pojęć i uczuć. Z tego tytułu Akademia peszteńska zasłużyła sobie na wieczną wdzięczność współziomków.

Dzięki przemożnemu poparciu i poświęceniu jej członków, wielu znakomitych pisarzy mogło wyłącznie poświęcić się literaturze, nietylko bowiem akademia stała się dla nich światłym i doświadczonym mecenasem, wydawała ich prace ale nadto składający ją mężowie byli pierwszymi czytelnikami ich utworów, własnym swym wydanych kosztem. Wydawcy poszli wkrótce za ich przykładem, zaczęli nabywać i wydawać rękopisma, a tak piśmiennictwo węgierskie zajęło pewne stanowisko w szeregu literatur europejskich.

I dotąd jeszcze akademia węgierska jest najczynniejszym w kraju wydawcą, szczególniej dzieł naukowych i zbiorów dokumentów. Nie poprzestając na inicyatywie, daje zapomogi wielu przeglądom naukowym i literackim, a niekiedy nawet wydaje tłomaczenia najznakomitszych utworów zagranicznych.

Pierwszym założycielem tej tak pożytecznej instytucyi był hrabia Szachenyi (Seczeny). Znakomity ten patryota walczący z takiem poświęceniem o przyszłość narodu węgierskiego, zawiązał stosunki z pewną liczbą najzacniejszych mężów, mogących dopomódz mu w urzeczywistnieniu celu do którego zmierzał. Dzięki swym stosunkom, stanowisku i majątkowi, monarcha zatwierdził statuta akademii w roku 1830 a w 1831 rozpoczęła swą działalność. Obecnie dzieli się ona na trzy sekcye. Pierwsza obejmuje lingwistykę i literaturę; druga historyą filozofii i nauki społeczne; trzecia matematykę, nauki przyrodzone i wszelkie gałęzie sztuki wojennej. Do najważniejszych jej wydawnictw zaliczają się dokumenta odnoszące się do negocyacyi dyplomatycznych Królestwa Węgierskiego. Ogromny ten zbiór stanowi część monumentów historycznych, wydanych staraniem komissyi historycznej, których liczba wynosi obecnie 74 tomów. Taż komisya wydała zbiór listów odnoszących się do historyi politycznej narodu, oraz nader zajmujący zbiór pamiętników i sprawozdań zaczerpniętych ze źródeł historycznych. Inne sekcye równą odznaczają się działalnością.

Jak już powiedzieliśmy większa część pierwszorzędnych naukowych i literackich pism peryodycznych otrzymują zapomogę od akademii, do takich należą między innemi: „Przegląd Peszteński” i najcelniejsze wydawnictwo peryodyczne węgierskie „Przegląd Węgierski”, którego Redaktor p. Hunfalfy Paweł, uczony lingwista i etnograf, wziął sobie za cel aby za pośrednictwem tego pisma, zapoznawać cudzoziemców ze wszystkiem co tylko znakomitszego pojawi się w Węgrzech, w dziedzinie nauk i sztuk.

Do wielu bardzo znakomitych ostatnich wydawnictw akademii, należą nader cenne prace p. Augusta Trefort, ministra oświaty publicznej od 1870 r. W czasach walki podjętej w sprawie postępu i wolności, p. Trefort był towarzyszem broni szwagra swego hr. Eotvös'a. Jako pisarz a zarazem mąż stanu, zajmuje się głównie naukami politycznemi. Wszystkie prawie prace jego traktują o kwestyach będących na dobie, o zagadnieniach zawsze zajmujących ludzkość.

Z tego krótkiego sprawozdania o działalności akademii węgierskiej, łatwo ocenić jak ważne oddaje ona usługi i jak skutecznie przyczynia się do intelektualnego rozwoju i postępu narodu.

*** Według spostrzeżeń astronoma londyńskiego Webb'a powierzchnia Marsa ulega obecnie dziwnym przeobrażeniom. Na podstawie swych obserwacyi, astronomowie rysowali dotąd powierzchnię tego planety w ten sposób, że mniemane lądy Marsa poprzecinane są licznemi zatokami, odnogami morskiemi i cieśninami lub kanałami naturalnemi. Słynny Schiaparelli, w latach 1877—1880 zdejmował kilkakrotnie powierzchnię tego planety, i za każdym razem zgadzały się najzupełniej we wszystkich szczegółach. Dopiero obserwacye dokonane przez Webb'a, w styczniu i lutym r. b. przekonały go że tak zwane kanały marsowe, zwłaszcza położone w nadrównikowym pasie tego planety, w ostatnim roku zwiększyły się w dwójnasób pod względem liczby, a nowo powstałe mają kierunek równoległy dawniejszym. Nic analogicznego nie zdarzyło się na ziemi, zapewnie więc zjawisko to długo jeszcze pozostanie dla nas zagadką.

*** Chiński dziennik „Schanghai Courr.” podaje. W miesiącu styczniu blizko 12 ludzi przelało krew swą w mieście Nigpo „na ofiarę bogom”. Od dość już dawna w pobliżu tego miasta uwija się wraz z bandą swoją głośny bandyta chiński Wang-king-man i namawia mieszkańców aby rządowi nie płacili podatków. Niedawno kazał rozstrzelać pochwyconego w drodze urzędnika cesarskiego, w skutku czego, pierwszy towarzysz tego opryszka jaki wpadł w ręce władz, w okropny sposób stracony został. Z rozkazu gubernatora Nig-po wydarto mu serce z piersi, dla złożenia go w ofierze bogom, zagniewanym srodze o zabicie cesarskiego urzędnika. Wang-king-man dowiedziawszy się o tem, oddał rządowi wet za wet przy pierwszej sposobności aby także uraczyć ofiarą zagniewane bóstwa. W kilka dni potem udało mu się pochwycić wysokiego mandaryna, wraz z sześciu urzędnikami i trzema służącymi, wszystkim więc kazał wydrzeć serca, a jednego którego najbardziej nienawidził, wrzucił we wrzący olej. Jakże daleko jeszcze Chiny pozostają w tyle za Japonią!

*** Depesza dzienników angielskich z Nowego Yorku, z dnia 19 marca, donosi: Według obliczeń urzędowych, liczba mieszkańców pozbawionych zupełnie wszelkich środków do życia skutkiem wylewu rzeki Missisipi, wynosi 85,000. Rząd zniewolony jest utrzymywać tych ludzi kosztem skarbu publicznego, przynajmniej przez dwa miesiące. Z Luizyany donoszą o licznych wypadkach zerwania tam skutkiem powodzi. Miasto Jazoo-Citi w krainie Missisipi całe zalane; mieszkańcy schronili się na dachy i górne piętra domów, a żywność dowożą im parowcami. Fale uniosły tratwę pełną uciekających przed powodzią. Olbrzymich strat dotąd nie zdołano obliczyć.

*** Nowy kometa odkryty został w Bostonie, przez Welsa. W pierwszych dniach b. m. znajdować się on będzie blizko świetnej gwiazdy w konstellacyi Lutni, zwanej Wegą. Ponieważ kometa ten biedz będzie w kierunku bieguna północnego, zatem stanie się widzialnym nad naszym poziomem; a że zbliża się tak do słońca (od którego w czerwcu zaledwie na 9 milionów mil będzie odległy) jak i do ziemi, zatem w drugiej połowie kwietnia można będzie widzieć go gołem okiem. Blask komety do czerwca ciągle zwiększać się będzie.

*** Czego już teraz dokazać nie można! Na jednem z ostatnich posiedzeń stowarzyszenia inżynierów w Filadelfii, sekretarz tegoż odczytał ciekawe sprawozdanie odnoszące się do przeniesienia hotelu „Pelham" w Bostonie.

Hotel ten zbudowany z kamienia i cegły, o fasadzie mającej przeszło 29 metrów, wspierający się od ulicy Boylston na ośmiu granitowych kolumnach, wysokich 3,65 m. składa się z suteren i 7 piętr, a ciężar jego nie licząc wewnętrznego umeblowania, wynosi około 5,000 ton. Dla rozszerzenia ulicy, trzeba było koniecznie posunąć go o 4,216 centimetr. w tył. Dokonano tego w ten sposób, iż najpierw pod całym budynkiem zbudowano nadzwyczaj silne fundamenta z kamienia i cegły, w celu ułożenia na nich szyn, po których za pomocą 56 lewarów, przesunięto dom na odpowiednio urządzonych podstawach. Prace przygotowawcze trwały dwa miesiące, samo zaś przesuwanie rozpoczęto 21 sierpnia, a skończono 25 t. m. Cała wogóle robota zajęła 4,351 dni roboczych, i kosztowała 150,000 fr. Czynność ta dokonana została z taką pewnością że większość lokatorów nie opuszczała nawet swych mieszkań, będąc najzupełniej przekonana o swem bezpieczeństwie, gdyż poprzednie doświadczenia udowodniły, że dokładne podszynowanie dolnych części budynku zabezpiecza najzupełniej górną część tegoż od uszkodzenia. Jest to pierwsza próba przesunięcia tak znacznego budynku, dokonana z takiem powodzeniem przez inżynierów amerykańskich.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe z pelerynką. Śpódnica jest z materyału haftowanego w maszynie, u dołu wycięta w zęby, podgarnirowane falbaną składaną wachlarzowo. Tunika krótka fartuszkowa z tyłu podpięta w odstającą bufę, dana z gładkiego materyału, tego co suknia koloru. Panier są u góry przemarszczone w nagłówek i przyszyte na staniku ściętym bawetowo. Pelerynka z długiemi końcami związanemi z przodu, zrobiona jest z prostego kawałka zakończonego haftem, z tyłu na środku przemarszczonego kilkakrotnie. Kapelusz słomkowy tego co suknia koloru, podszyty aksamitem i przybrany cieniowanemi piórami.

Ubranie spacerowe z płaszczykiem. Spódnica z adamaszku w duży deseń, ułożona w głębokie podwójne kontrafałdy. Płaszczyk ma szerokie rękawy i brzegi przednie zakończone obłożeniem z tego samego materyału, przestębnowanem kilkakrotnie. Pelerynka i kołnierz są przemarszczane drobniutko.

Kapelusz słomkowy z rondem wysoko odwiniętem z przodu, podszytem aksamitem, suto przybrany kwiatami.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 14 Апрѣля 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 17, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

X.

Tajemnica mistress Andinnian.

— Czy sir rozkaże podać cóś sobie?

To pytanie zadane przez Hewitt'a, który przyszedł aby zapytać pana jakie rozkazy wyda mu na jutro, rozbudziło Karola z zamyślenia.

— Trochę *brandy*, Hewitt'cie, z gorącą wodą; ale tylko pół szlanki. Jakoś mi zimno, wieczór musi być bardzo chłodny?

— Przeciwnie, sir Karolu, powietrze bardzo łagodne.

— Jak sądzisz, Hewitt, czy matka moja ma jakieś nowe zmartwienia, lub nieznane mi kłopoty? zapytał Karol gdy Hewitt przyrządzał mu żądany napój. Zdaje mi się że jest w jakiemś dziwnem usposobieniu.

— Uważałem to już od pewnego czasu, sir Karolu, ale nie znam powodu. Już od śmierci sir Adama dostrzegam w pani wielką zmianę, ale trudno się temu dziwić. Kochała go tak bardzo! Był to ciężki cios, po którym rana nie może zabliźnić się prędko.

— Tak, masz słuszność. Ilu jest teraz służących w domu? rzekł Karol, zadający to pytanie główne w celu zmienienia przedmiotu rozmowy.

— Prócz mnie, jest tylko dwie służące.

— Jakto! tylko ty i dwie służące! zawołał zdziwiony Karol.

— Tak, sir, nie ma nikogo więcej. Nie mogę rachować ogrodnika który zajmuje się tylko ogrodem.

— Ale to za mało dla utrzymania porządku w Foxwood; wszakże w Northamptonshire mieliśmy też samą liczbę służących. Macie za wiele roboty. Dla czegóż mistress Andinnian poprzestaje na tak niedostatecznej usłudze.?

— Pani utrzymuje że jej dochody nie wystarczają na utrzymanie liczniejszej służby, odpowiedział Hewitt krótko, jakby mu było przykro dawać podobną odpowiedź.

— Nie wystarczają!... jakim sposobem? wszakże posiada teraz znaczne dochody.

Hewitt potarł czoło z miną zakłopotaną. Karol nie wahał się dotykać w rozmowie z tym zacnym i wiernym sługą swej rodziny, nawet takich przedmiotów o których nie chciałby ani wspomnieć w obecności innych służących. Hewitt przeżył tyle już lat wśród jego rodziny, że go uważał za swego starego przyjaciela, i już od dziecinnych lat swoich przyzwyczaił się okazywać mu pewne poważanie. Hewitt stał ciągle obok pana, jakby czekał na dalsze jego rozkazy.

— Czy nie wiesz o jakich długach? zapytał Karol.

Hewitt nie okazał najmniejszego zadziwienia usłyszawszy to pytanie; zdawało się przeciwnie że mu się wydawało bardzo naturalnem.

— Uważałem nieraz że pani zostawała pod wpływem ciężkich udręczeń, jakich doznają zazwyczaj ludzie obarczeni wielkiemi długami, odrzekł Hewitt, i podejrzywam że istnieje jakaś otchłań pochłaniająca jej dochody. Nigdy jednak nikomu nic o tem nie wspomniałem, i panu nawet nie mówiłbym ani słówka, gdybyś mnie wyraźnie nie zapytał. Może sir Adam zostawił znaczne długi.

— Nie, Hewitt, to być nie może. Gdyby sir Adam miał długi, spłaconoby je z pozostałego po nim majątku i reszta dopiero stałaby się moją własnością. Plunkett et Plunkett oznajmili mi najwyraźniej, że żadne długi nie obciążają majątku, wyjąwszy należności za koszta procesu.

— Kto wie czy długi te nie ujawniły się później, to jest iż może dopiero po rozmowie pana z pp. Plunkett, zaczęto domagać się ich zapłacenia. Tak mi się zdaje przynajmniej, sir Karolu.

— Ale zkądże przyszła ci ta myśl? zapytał Karol niewymownie zdziwiony.

— A! proszę pana, trudno zakazać sobie wyprowadzać wnioski z tego na co patrzymy, odrzekł Hewitt. Pewnego dnia pani tak była przygnębiona iż zdawało się że ledwie żyje, ośmieliłem się zapytać czy jaka przykrość ją nie spotkała; przez chwilkę popatrzyła na mnie surowo, a potem rzekła: „Nie, nie wydarzyło się nic nowego, ten stary smutek dawnego sięgający czasu”. A było to właśnie wieczorem tego dnia, sir Karolu, kiedy to gentlemen tu przybył i parę godzin rozmawiał z panią.

— Co za gentlemen?

— Jakiś zupełnie mi nieznany. Przyjachał tu i zapytał czy może się widzieć z mistress Andinnian; otóż stosownie do raz na zawsze wydanego mi rozkazu, odpowiedziałem że pani jest tak cierpiąca iż nikogo nie przyjmuje. Czy tak? odrzekł, no to wprowadź że mnie do pokoju abym mógł napisać list. Stanąłem tuż obok niego, gdy zaczął pisać, ale kazał mi oddalić się na drugi koniec pokoju, wyraźnie dla tego abym czasem nie przeczytał co pisze. Zdaje mi się, sir Karolu, że napisał jeden tylko lub co najwięcej dwa wiersze, poczem kazał podać sobie zapaloną świecę, złożył list i zapieczętował. „Oto masz, rzekł, oddaj mistress Andinnian, a zdaje się że mnie przyjmie”. Pani rozgniewała się bardzo że wbrew jej rozkazom poważyłem się przyjąć list do niej, ale gdy tylko otworzyła, zbladła jak chusta i kazała prosić owego gentelmena do salonu. Przeszło dwie godzin rozmawiali z sobą.

Opowiadanie to bardzo dziwnem wydało się Karolowi.

— Jakże ten jakiś pan wyglądał? zapytał.

— Był wysokiego wzrostu i dobrze bardzo ubrany. Musiał zapewnie być ranny w lewą rękę, bo nosił ją na chustce i zaledwie mógł nią poruszyć. Właśnie wieczorem po jego odejściu, pani była tak rozdrażnioną jak nigdy jeszcze.

— Czy nie wiesz nazwiska tego pana?

— Nie wiem, sir Karolu. Kazano mi podać śniadanie, i z kilku słów pochwyconych gdy przyniosłem tacę i następnie sprzątałem ze stołu, tyle tylko domyśléć się mogłem iż ów gentlemen ofiarował swoje usługi jako rządca dóbr.

— Ależ ani potrzebuję ani szukałem rządcy, rzekł Karol.

— Jednak jestem prawie pewny że tego właśnie pragnął ów gentlemen, tem więcej że później pani nadmieniła mi iż skutkiem nieobecności pana dobra bardzo były opuszczone, i że uważa iż koniecznie trzeba będzie postarać się o dobrego rządcę.

— Ależ dobra te bynajmniej nie są opuszczone ani zaniedbane; gospodarstwo jest prowadzone wzorowo. Jak dawno ów pan był tutaj?

— Blizko przed trzema tygodniami, sir Karolu; od owego czasu nie widziałem go więcej i nie słyszałem nic o nim. Zdaje mi się koniecznie że panią dręczy tajemne jakieś zmartwienie czy niepokój, nie mające nic wspólnego ze śmiercią sir Adama. Jestto aż nadto widocznem, i sam pan zauważył, iż pani jest teraz inną jak dawniej. Mojem zdaniem ów nieznajomy przybył tu może domagać się wypłaty sum należących się od sir Adama.

Karol uważał to za rzecz nieprawdopodobną, jednakże żaden z nich nie mógł przytoczyć nic przekonywającego na poparcie swego zdania.

— Trzeba żebyś od czasu do czasu pisywał do mnie i donosił mi o zdrowiu matki, rzekł po chwili do Hewitta.

— Najchętniej, sir Karolu, tylko racz zostawić mi swój adres.

— Nie omieszkaj zawiadomić mnie niezwłocznie gdyby zaszły jakie trudności, lub gdyby, broń Boże, matka zasłabła; chciałbym bardzo żeby nie była tak osamotnioną.

Hewitt oddalił się potrząsając głową, był przekonany iż pani jego za nic w świecie nie wyrzecze się samotności—od dnia śmierci ukochanego syna, świat i ludzie stali się jej najzupełniej obojętni, nic ją nie obchodziło i nie zajmowało.

Karol udał się do swego pokoju, lecz zaledwie zamknął drzwi za sobą, zapukała do nich służąca, zawiadamiając że mistress Andinnian pragnie z nim pomówić. Karol sądził że matkę zastanie w łóżku, to też zadziwił się niewymownie ujrzawszy ją ubraną, siedzącą w jej saloniku przed kominkiem.

— Zamknij drzwi, Karolu, rzekła; gdy tylko próg przestąpił, postrzegł zaraz iż na twarzy jej malowało się boleśne wzruszenie.

— Cały wieczór rozmyślałam nad tem czy mam wyjawić ci powód miotających mną cierpień i udręczeń — po długiem wahaniu postanowiłam powiedzieć ci...

— Ach! jakżem szczęśliwy, matko droga, zawołał Karol.

— Cicho! odrzekła kładąc palec na ustach—nie mów nic dopokąd nie dowiesz się o co chodzi. Szczęśliwy!... Jedynie właśnie przez wzgląd na ciebie, Karolu, milczałam dotąd, mówiła dalej tym zwykłym sobie surowym i lodowatym głosem, tak boleśnie odbijającym się w sercu syna. Zapewnie posądzałeś mnie o przeciwną naturze nieczułość i obojętność—a jednak serce moje cierpiało tak srodze, właśnie ze względu na ciebie. Jakkolwiek nie kochałam cię tak bezgraniczną miłością jak nieszczęśliwego twego brata a mego pierwotnego syna — jednakże i do ciebie byłam przywiązana, choć tego nie uznawałeś pewnie. Domagając się abyś przebywał zdala od Foxwood, to jedynie miałam na celu, aby nie zakłócać twego spokoju prędzej niż stanie się to niezbędnem.

— Nie obawiaj się, kochana matko, mów o co chodzi, mam odwagę wysłuchać wszystkiego.

— Wierzę temu gdyż człowiek wszystko niemal

znieść zdoła, a jednak lękam się ust otworzyć. To co mam ci powiedzieć uważać będziesz za straszne nieszczęście i niewysłowioną męczarnię, która wstrząśnie całą twoją istotą, oddziała na całe życie...

— Doprawdy, droga matko, rzekł Karol ze smutnym uśmiechem, po nieszczęściach które spadły na mnie w ciągu tego roku, trudno mi przypuścić aby los mógł mnie dotknąć jeszcze cięższemi.

— Za chwilę sam to osądzisz. Gniew twój spadnie na mnie, gdyż ja to jestem głównym tego sprawcą... Zasłużyłam na twe wymówki, mój synu. Chciałabym złagodzić cios jaki zada ci ta wiadomość, ale to nie jest w mej mocy, co się stało odstać się nie może.

Mistress Andinnian wstała, otworzyła drzwi i wyjrzała czy nie ma kogoś na korytarzu lub na schodach, a następnie zamknąwszy je zasunęła zasuwkę.

— Jakkolwiek nie można się tu obawiać aby ktoś chciał nas podsłuchiwać, a prócz tego drzwi są grube, wolę być ostrożną, gdyż to co ci mam powiedzieć jest tajemnicą od której życie zależy. Usiądź tu, Karolu, dodała, wskazując mu fotel naprzeciwko siebie.

— Wolałbym stać, matko.

— Proszę cię usiądź, powtórzyła, i Karol zastosował się do jej życzenia. Nie zdawał się zostawać pod wpływem jakiegoś silniejszego wrażenia, gdyż nie spodziewał się usłyszeć wiadomości usprawiedliwiającej podobne ostrożności.

— Przedewszystkiem, musisz mi przysiądz, Karolu, że nie wyjawisz nigdy i nikomu tej tajemnicy, bez mego zezwolenia.

— Jestże to koniecznem, moja matko?

— Tak, koniecznem, równie dla mnie jak dla ciebie, odpowiedziała cierpko, jakby ją to pytanie obraziło. Jeżli nie spełnisz mego żądania nie dowiesz się nic ode mnie.

Karol wstał i wykonał żądaną przysięgę, a następnie zajął znów swoje miejsce.

Ociągała się jeszcze jakby jej trudno było otworzyć usta. Siedzieli naprzeciwko siebie, on w postawie oczekującej, ona spoglądając na niego niespokojnie. Upłynęło parę minut a mistress Andinnian nie była w stanie przemówić. Przemówiła nakoniec... wyrzekła parę słów, tylko parę.. ale Karol posłyszawszy je krzyknął i podskoczył tak prawie jak nieszczęśliwy Marcin Scott gdy go dosięgła kula sir Adama.

— Matko, to nie może być prawdą!

Mistress Andinnian przysunęła się do niego, i opierając rękę na jego ramieniu, zniewoliła go do zajęcia napowrót miejsca.

— Cicho! Karolu, szepnęła głosem łagodnym; nie zapominaj jak wiele na tem zależy aby w domu nie domyślano się niczego.

Zwrócił na matkę prawie błędne spojrzenie. Mistress Andinnian wróciła na swoje miejsce. Karol siedział naprzeciwko niej jak skamieniały, w głowie jego panował taki chaos że trudno mu było zemyśli.

Czemuż nie powiedziałaś mi tego, matko, zanim oświadczyłem się o Łucyę? zawołał nakoniec z żywością.

— Zapominasz że nie wiedziałam nic o tem iż masz zamiar się z nią ożenić, i dla tego jedynie że mi to dziś powiedziałeś, postanowiłam uwiadomić cię o wszystkiem.

— Więc w innym razie taiłabyś to zawsze przede mną?

— Byłoby to niepodobnem; musiałbyś koniecznie dowiedzieć się prędzej lub później.

Uważaj dobrze, Karolu, opowiem ci teraz wszystko ze wszelkiemi szczegółami.

Była już pierwsza po północy, gdy Karol wyszedł z pokoju matki, a wyglądał tak jakby przez te parę godzin zestarzał się o dziesięć lat. Potrafiłby znieść mężnie, z prawdziwem stoicyzmem największy nawał trosk, gdyby te dotykały tylko jego, ale obecnie nie wiedział sposobu uwolnienia się ze smutnego i kłopotliwego położenia, gdyż to o czem się dowiedział niweczyło wszystkie jego zamiary.

Nie położył się już wcale; przez resztę nocy chodził gorączkowym krokiem po pokoju, rozmyślając nad tem co mu teraz czynić wypada. Honor nakazywał mu powiedzieć wszystko pułkownikowi i Łucyi, i takie było jego przekonanie, a jednak nie mógł tego uczynić, tak dla tego że przysięgą zobowiązał się, do milczenia, jakoteż iż chodziło o rzeczy wymagające najściślejszej tajemnicy. W pierwszej chwili, na pół jeszcze odurzony tem co usłyszał, zapytał matki czy może nadmienić cóś o tem narzeczonej, i zostawić jej wolność wyboru czy zechce lub nie zostać jego żoną, ale mistress Andinnian odpowiedziała mu tylko pytaniem, czy już zupełnie stracił rozum. Byłoby to rzeczywiście prawdziwem szaleństwem dodała.

— Co czynić? co czynić? powtarzał biedny Karol. Trzeba ich uwiadomić listownie że ten związek nie może przyjść do skutku, i wskazać im jakieś prawdopodobne powody, bo nie miałby odwagi wrócić do nich po to jedynie aby im to powiedzieć. Ale cóż się stanie z Łucyą? Wszakże pułkownik przyznał otwarcie że zezwalał na ten związek jedynie dla uchronienia jej od śmierci. Czy porzucając narzeczoną w sposób tak nieludzki i nikczemny, gdy już czyniono przygotowania do uczty weselnej, gdy ubiór ślubny był już gotowy, nie wydarłby jej zdrowia, a prawdopodobnie i życia? Trudno byłoby znaleźć się w trudniejszem położeniu; Karol był człowiekiem prawym i honorowym, dla tego też tak trudno mu było znaleźć drogę wyjścia. Nie wolno mu było uczynić najmniejszej wzmianki o tej strasznej tajemnicy, a nie miał siły zadać Łucyi ciosu, prawdopodobnie śmiertelnego. Z drugiej znów strony, jeżeli ożeni się z nią wiedząc to o czem uwiadomiła go matka, postąpi wbrew zasadom honoru. Co czynić?... co czynić?... w którąkolwiek zwraca się stronę nie widzi sposobu wyjścia.

Ukląkł i szukał ratunku w modlitwie. Człowiek lekkomyślny, światowy, nie zwykł w cierpieniu zwracać się do nieba; Karol to uczynił. Błagał Boga aby go oświecił i wskazał mu właściwą drogę, ale zaledwie powstał niepewność wróciła. W kilka minut potem Hewitt zapukał, oznajmiając mu tym sposobem że czas wstawać jeźli chce zdążyć na pociąg. Skoro sir Karol wyszedł z pokoju, Hewitt zadziwił się że pan jego ubrał się tak prędko.

— Szkaradny dziś czas, sir Karolu, rzekł Hewitt otwierając drzwi od sieni.

— Tak, słyszę jak wicher świszcze. Bądź zdrów, Hewitt'cie.

Z powodu gwałtownego wichru na morzu, Karol przybył do Paryża dopiero o 11 wieczorem, kazał się zawieźć prosto na ulicę d'Antin, i prosił aby mu wolno było pomówić z Łucyą na osobności. Nie mogąc pogodzić z sobą sprzecznych interesów, postanowił przytłumić głos honoru dla ocalenia życia Łucyi, przynajmniej jeżeli nie odepchnie go sama.

Wyszła do niego z twarzą rozpromienioną i rzekła śmiejąc się, że już przepowiadano jej że nie wróci, że ją opuścił i uciekł na koniec świata. Karol odpowiedział na ten żart tak słabym uśmiechem, a w tych kilku słowach które do niej wyrzekł czuć było tyle smutku i przymusu, że zaniepokojona tem Łucya zapytała, co mu się stało. Zatrzymali się przed kominkiem, ale Karol stał o parę kroków od niej.

— A cożby powiedziałabyś Łucyo gdy bym uczynił to rzeczywiście?

— Powiedziałabym, *szczęśliwej podróży*, rzekła wesoło, nie domyślając się że nie bez celu zadawał jej to pytanie.

— Droga Łucyo, to nie był żart z mej strony, wracam obciążony ciężkiemi troskami, miałem już zamiar opuścić cię na zawsze, napisać że związek nasz musi być zerwanym.

Nie otrzymując odpowiedzi zwrócił na nią oczy. Twarz jej pobladła i zdradzała głębokie przerażenie.

— Usiądź, Łucyo, rzekł przysuwając jej fotel, będę się starał dać ci jakieś wyobrażenie o tem co zaszło, chociaż nie mogę powiedzieć ci wiele.

Stojąc ciągle przed nią wyznał jej wszystko co mu wolno było wyznać, ale było to bardzo ciężkie zadanie, potrzebował przedstawić jej we właściwem świetle swoje położenie, nie dotykając powodów które sprowadziły w nim zmianę. Spadło na niego niespodziewanie wielkie nieszczęście, mówił, nieszczęście którego określić nie może. Utracał on z tego powodu wiele ze swej wartości osobistej, a co więcej, mogło to być uważane za przeszkodę do ich związku. Następnie opisał jej walkę jaką musiał stoczyć sam z sobą, chcąc rozwiązać pytanie czy powinien lub nie, rozłączyć się z nią na zawsze, a w końcu oznajmił że po długiem wahaniu, postanowił zastosować się w tem ściśle do jej woli. Jeżeli nie zechce zostać jego żoną, postara się wymyślić i przedstawić jej rodzicom jakiś inny powód zniewalający do zerwania ich małżeństwa, lub też będzie mogła im powiedzieć że to ona nie życzy już sobie pojść za niego. Jeżeli zaś nie odtrąci go od siebie, w takim razie...

— Powiedz mi Karolu, rzekła przerywając mu, czy przeszkoda o której mówisz pochodzi z twej winy, to jest z czegoś poniżającego cię osobiście?

— Nie, odpowiedział bez wahania, nie przyczyniłem się niczem do tego co zaszło, a nawet parę dni temu nie wiedziałem nic o tem. Możesz być tego pewną, Łucyo.

— W takim razie źle że zwątpiłeś o mnie, Karolu, zawołała z oczyma pełnemi łez radości. Było to okrucieństwem z twojej strony myśleć o rozłączeniu.

— Zwróć uwagę na przyszłość, Łucyo, zastanów się nad nią przynajmniej o tyle, o ile dozwola ci na to niedokładne moje wyznanie. Mam nadzieję że to o czem wspomniałem nie doprowadzi do żadnych zawikłań, że świat nie dowie się o tem nigdy; jednak nie mogę zapewnić czy stan rzeczy nie zmieni się kiedyś zupełnie. Może nas spotkać straszna klęska... moglibyśmy być zniesławieni w oczach świata... tak, Łucyo, *zniesławieni*: ja przez innych, ty przezemnie.

— Jestem twoją, twoją cokolwiek się stanie, powtórzyła.

— Dobrze, Łucyo, stanie się tak jak postanowisz, ale muszę cię jeszcze przestrzedz, moja ukochana, że gdyby ziścił się kiedyś ten nieszczęsny wypadek którego się obawiam, mogłabyś żałować tego że zostałaś moją żoną; wiem że rodzice twoi ubolewaliby nad tem z pewnością.

— Nie mów tego, Karolu! szepnęła zbliżając się do niego. Ja miałabym żałować?... Nie, nigdy! mój najlepszy przyjacielu, mój mężu, mogłabym powiedzieć, bo wszakże jutro połączymy się już na zawsze, będę twoją wierną towarzyszką tak w szczęściu jak w niedoli!

— Niech cię Bóg błogosławi, Łucyo, i niech nas oboje otoczy swoją opieką.

Przycisnął ją do serca drżący że wzruszenia, a z oczu jego popłynęły dwie łzy wielkie, gorące, i spadły na twarz narzeczonej.

W drugim tygodniu marca, to jest blizko miesiąc po swym ślubie, sir Karol Andinnian, bawiący natenczas z żoną we Florencyi, odebrał telegram z Foxwood, w którym Hewitt donosił mu że mistress Andinnian dostała jakiejś gorączki, tak niebezpiecznej że może wkrótce zakończyć życie.

Sir Karol i lady Andinnian pośpieszyli natychmiast do Paryża, gdzie mistress Cleeve i miss Blake przebywały jeszcze, z powodu że państwo Cleeve wyjeżdżając z Winchester wynajęli na czas jakiś swoje pomieszkanie, i nie mogli jeszcze do niego wrócić; pułkownik sam wyjechał do Londynu. Sir Karol zostawił żonę u jej matki, gdyż jak mówił, obawiał się aby choroba matki nie była zaraźliwą. Stan zdrowia Łucyi uległ szczęśliwej i prawie cudownej zmianie, policzki jej były teraz pełne i pokryte świeżym rumieńcem, oczy jaśniały wyrazem szczęścia. Mistress Cleeve nie mogła się nacieszyć jej widokiem.

— Cieszę się bardzo że wydaliśmy ją za sir Karola, rzekła do Teresy. Miss Blake przygryzła usta w miejsce odpowiedzi, rana jej nie była jeszcze zabliźnioną

— Drogi mój Karolu, wracaj do mnie jak będziesz mógł najśpieszniej, szepnęła Łucya żegnając męża, ale nadewszystko bądź ostrożnym, czuwaj nad sobą abyś sam nie uległ tej zaraźliwej gorączce.

Karol uspokoił ją pełnemi tkliwości słowami i gorącemi pocałunkami. Nawet to krótkie rozłączenie wydawało im się ciężką do przebycia próbą.

Mistress Andinnian zdawała się trochę zdrowszą gdy Karol przybył do Foxwoodu; niebezpieczeństwo nie wydawało się przynajmniej tak groźnem, jednak miejscowy doktór, pan Moore, uprzedził, że nie można dowierzać temu polepszeniu. Gorączka ustąpiła do pewnego stopnia, ale osłabienie było tak wielkie że trzeba się było obawiać zupełnego wycieńczenia sił. Gdy Karol zażądał dokładniejszych objaśnień co do choroby matki, pan Moore uwiadomił go że jest to rodzaj trawiącej gorączki, której głównym powodem jest smutne usposobienie umysłu mistress Andinnian, rozpaczającej ciągle po swym starszym synu. Doktor Cavendisch, z sąsiedniego miasta Basham, odwiedział chorą jednocześnie z panem Moorem. Sir Karol wysłał natychmiast telegram do jednego z najsławniejszych londyńskich doktorów, wzywając go do Foxwood, lecz i ten potwierdził zdanie swych wiejskich kolegów, nie zmienił nic w przepisanych przez nich lekarstwach, i oświadczył że prawie nie było nadziei aby mistress Andinnian mogła odzyskać zdrowie.

Karol powtórzył te wszystkie szczegóły w liście do żony, i dodał że nie podobna mu wrócić do Paryża dopóki rzeczy pozostaną tak jak są obecnie. Łucya odpowiedziała że nie tylko nie wymaga aby opuścił matkę, ale nawet uważałaby to za złe gdyby tak postąpił; prosi go tylko aby jej pozwolił przyjechać do Foxwood, czuwać wsgólnie z nim nad chorą. Następnie zapewniała go że nie lęka się wcale gorączki, i dodała kilka serdecznych słówek dla mistress Andinnian, upewniających ją że znajdzie w niej zawsze przywiązaną córkę. Karol odebrał tegoż samego dnia list od mistress Cleeve, dowodzący jak dalece obawiała się gorączki: „Czy nie zaniedbujesz wszelkich ostrożności, kochany sir Karolu, i czy wykadzasz listy twoje do nas, przed odesłaniem ich na pocztę?"

Karol nie wierzył w to aby choroba matki miała być tak zaraźliwą, ale niestety! nie śmiał pomimo to przywołać do siebie żony. Zaraz po przybyciu do Foxwood dowiedział się że w okolicznościach odnoszących się do powierzonej mu przez matkę, zaszły nowe zawikłania. Dość aby mistress Andinnian w przystępie gorączki wypowiedziała tylko parę słów odnoszących się do tego co ją tak zajmowało, a Łucya dowiedziałaby się o wszystkiem. Prócz tego, dom nie był urządzony odpowiednio dla lady Andinnian.

Karol spędzał przy łóżku matki dnie i noce, skoro byli sami mówiła z nim ciągle o powodach swych udręczeń, i Karol nie mógł nawet powątpiewać że to ciągły niepokój i troski tak wyczerpały jej siły; powiedział jej to i nie przeczyła mu wcale. Ten jeden przedmiot tak wszechwładnie opanował jej umysł, że nie była w stanie myśléć o czem innem.

Karol przewidywał blizką śmierć matki, widząc że siły jej nikną z każdym dniem, a jego własny umysł zostawał także w ciągłem naprężeniu. Rozmyślając ciągle nad jednym przedmiotem, gdyż niepodobna mu było odsunąć go od siebie, zrozumiał jak wielki błąd popełnił zaślubiając Łucyę. Jedyną rozrywką dla sir Karola były wizyty doktorów; doktór Cavendisch bywał co dzień, pan Moore dwa lub trzy razy na dzień. Pan Moore wyrażał się trochę szorstko, ale był dobrym, troskliwym o swych chorych i okazywał wiele serca; miał twarz czerwoną ale pełną szczerości, nos zadarty; ciemne włosy zaczęły już pokrywać się siwizną. Karol czem lepiej go poznawał, tem więcej go cenił, odkrywając w nim co raz nowe przymioty.

— Jakież to nieszczęście że mistress Andinnian wzięła tak bardzo do serca śmierć sir Adama, rzekł pan Moore do Karola pewnego dnia, gdy zastał chorą więcej jeszcze osłabioną i rozdrażnioną, słowem znacznie gorzej pod każdym względem. Dopóki zachowa tak zgubne usposobienie umysłu, nasza pomoc będzie bezskuteczną.

— Matka moja kochała Adama miłością wyjątkową, prawie nieograniczoną, panie Moore.

— W każdym razie nie powinnaby się tak poddawać żalowi i dozwolić aby ją zabił.

Karol zwrócił rozmowę na inny przedmiot. Wiedział jak dalece przypuszczenia doktora były mylne; bez wątpienia śmierć ukochanego syna napełniła serce mistress Andinnian ciężkim i dotkliwym żalem, jednak nie ten żal ją zabijał.

Dni upływały, a każden z nich unosił z sobą jakąś cząstkę sił mistress Andinnian. Na nieszczęście odzyskała zupełnie przytomność umysłu; na nieszczęście, powtarzamy, ponieważ ciało było już pozbawione potrzebnej energii do powtrzymywania na wodzy działalności umysłu. Karol miał ciągle jakieś zajęcie przy matce; musiał odbywać z nią bezprzestannie jakieś narady, pisać za nią listy, ale i teraz jeszcze nie okazywała mu zupełnego zaufania. W czasie owej pamiętnej nocnej rozmowy, w ciągu której odkryła mu swą tajemnicę, zapytał jej co to za jeden ten jakiś gentleman, który był u niej i rozmawiał z nią długo. Mistress Andinnian odpowiedziała mu tylko że to niejaki pan Smith, który był u niej jako starający się o miejsce rządcy w dobrach sir Karola. Dowiedział się następnie od Hewitt'a że pan Smith ukazał się powtórnie, nazajutrz po jego wyjeździe do Paryża, rozmawiał długo z mistress Andinnian, i że właśnie od tej chwili stan jej zdrowia pogorszył się tak bardzo. Było w tem coś dziwnego, coś niepojętego.

Karol dowiedział się jednocześnie że pan Smith został przyjętym, pełnił już obowiązki rządcy i że mu oddano na mieszkanie domek znajdujący się tuż przy Foxwood-Court. To powiększyło jeszcze jego zadziwienie, był najsilniej przekonanym że w tym ukrywała się jakaś nieznana mu tajemnica ale nie mógł otrzymać od matki prawdopodobnego wyjaśnienia. „Była cierpiąca, osłabiona, on zaś miał bawić długo na stałym lądzie, trzeba było koniecznie mieć kogoś takiego coby czuwał nad wszystkiem". Wiedział że nie powiedziała mu prawdy i dla tego właśnie nie śmiał oddalić pana Smith.

Pewnego dnia odebrał całkiem niespodziewanie list od żony pisany z Londynu, gdzie przybyła wraz z rodzicami. Obawiał się aby mistress Cleeve i Łucyi nie przyszła ochota przyjechać do Foxwood, dla tego też odpisując żonie, mówił wiele o gorączce.

Co do niego, stawał się co raz podobniejszym do widma; wyglądał tak jak gdyby i on także przebywał jakąś gwałtowną gorączkę. Pisząc do mistress Cleeve nie tail że nie czuje się zupełnie dobrze, odpisując mu napełniła cztery stronnice instrukcyami jak należy wykadzać i przewietrzać rzeczy i mieszkanie, oraz prosząc go aby nie przyjeżdżał obecnie do Londynu.

Ziściły się przewidywania doktora i obawy Karola: mistress Andinnian zakończyła życie. Umarła prosząc Boga aby przedłużył jej życie o dni kilka... tylko o kilka dni. Zdawało się że to nowe nieszczęście w połączeniu z innemi troskami przewyższy już siły biednego Karola. Pogrzeb mistress Andinnian odbył się bez wszelkiej wystawy, a ciało jej złożono obok trumny syna.

Karol pozostał jeszcze w Foxwood pod pozorem że nie chce udać się do żony prosto od łoża chorej. Wyglądał jakby powstał z trumny; pan Moore zwrócił na to uwagę i dopytywał się czy nie czuje się słabym.

Pewnego dnia oznajmiono mu że pan Smith pragnie się z nim widzéć, przyjął go i rozmawiał z nim przeszło kwadrans.

— Czy ten gentleman pozostanie tu nadal, zapytał Hewitt z poufałością starego sługi, skoro pan Smith odszedł.

— A ma się rozumiéć... Matka moja zgodziła go w czasie mojej nieobecności, uważając że trzeba koniecznie aby tu był ktoś taki któryby w razie potrzeby mógł mnie zastąpić... i zdaje mi się że miała słuszność.

Karol powiedział to obojętnie, ale w gruncie ten pan Smith intrygował go bardzo, nie wiedział dotąd co to za człowiek, zkąd i w jakim celu przybył do Foxwood. Podczas jego bytności rozmawiali z sobą jedynie o interesach odnoszących się do dóbr: jednak pan Smith domyślał się bezwątpienia że sir Karol wiedział o tem dobrze iż tytuł rządcy służył mu jedynie za pozór do pozostania w Foxwood, że odgrywali tylko względem siebie komedyą. Mistress Andinnian oznaczyła jaką pensyę ma pobierać pan Smith, i Karol postanowił wypłacać mu ją nadal. Czemu? może ktoś zapyta; bo sir Karol nie śmiał postąpić inaczej; bo ten człowiek znał niebezpieczną tajemnicę jego matki, i mógł uczynić ją jeszcze niebezpieczniejszą.

Karol połączył się nakoniec z żoną w Londynie, ale był tak zmieniony że Łucya powitała go okrzykiem przerażenia, a mistress Cleeve utrzymywała że musiał zarazić się gorączką. Karol żartował z ich obawy, zaręczając że były to jedynie skutki bezsennych nocy spędzonych przy matce.

Pomimo to, miss Blake, w której chęć poprawiania świata rozbudzała co raz większą podejrzliwość, i zaostrzała przenikliwość, rozmyślała nad tem, dla

czego Karol nie wyjechał z Foxwood zaraz po śmierci matki, i czemu nie chciał aby żona przyjechała tam do niego.

XI.

Przy wejściu do labiryntu.

Trudno byłoby znaleźć w hrabstwie Kent miejscowość piękniejszą nad Foxwood-Court, zwłaszcza gdy w lecie śliczne i najrzadsze kwiaty, których tam było pełno, dodawały mu nowego uroku. Dom nie był zbyt obszerny, ale za to ładny i wesoły. Białe jego ściany przecinały szerokie okna, po większej części sięgające do ziemi, tak że ze wszystkich pokojów na dole można było wyjść na piaskiem wysypany taras, ciągnący się wzdłuż całego domu, i zakończony po obu stronach kląbami pysznych kwiatów. Po marmurowych schodach, umieszczonych w czterech miejscach, schodziło się na niższy teras, od którego rozpoczynały się wielkie trawniki ozdobione rozsianemi po nich drobnemi kląbami kwiatów, i zakończone kępami przepysznych drzew. Główne drzwi domu prowadziły na piękny peron ozdobiony portykiem z kolumnami, do którego prowadziła szeroka ulica przecinająca wspomniane trawniki. Przy końcu tej ulicy znajdowała się brama i mieszkanie odźwiernego; prócz tej głównej bramy, było jeszcze parę furtek w sztachetach otaczających dziedziniec i ogród.

Wprost bramy wjazdowej ciągnęła się piękna i szeroka droga, na której jednak, dla przyczyn które zaraz wskażemy, można było spotkać tylko osoby udające się do Foxwood-Court. Na lewo szła węższa i kręta droga do wsi Foxwood, na prawo zaś prowadząca do stacyi kolei żelaznej, ale ponieważ istniała inna jeszcze idąca prosto ze wsi do kolei, wszyscy nią jeździli, pomijąc ciągnącą się około Foxwood-Court.

Wieś składa się z niewielkiej liczby domków, między któremi znajdowały się ładne, porządne i nędzne; z kilku sklepów, kościoła i probostwa zajmowanego przez pastora, pana Sumnor, człowieka już w dość późnym wieku. Znajdował się tam także doktór, pan Moore, i patron pan Saint-Henry, nazywany powszechnie adwokatem Saint-Henry.

W piękny poranek czerwcowy, mistress Cleeve i miss Blake siedziały przy śniadaniu w małym ale ładnym pokoiku w Foxwood-Court, znajdującym się w północnej stronie domu. Stół zastawiony był przepyszną porcelaną Worcesterską, srebrem i kwiatami; obok mistress Cleeve leżał świeżo odebrany list od lady Andinnian, w którym donosiła, że wkrótce już przybędzie z mężem do Foxwoodu.

Jakżeby to wszystko doskonale szło na świecie, gdyby mieszanie się ludzi nie psuło porządku rzeczy. Gdy, jak to wspomnieliśmy wyżej, Karol pojechał z Foxwood do Londynu gdzie bawiła jego żona, Łucya już w zupełności odzyskała zdrowie i siły, tak iż nie potrzeba było wyjeżdżać do cieplejszych krajów, jak to pierwej było ułożone. Nie była zbyt zamiłowaną w podróżach, i dla tego wolałaby była zaraz zamieszkać w Foxwood, i sami rodzice tak jej radzili widząc ją zupełnie zdrową. Karol jednakże nie zgodził się na to, i wywiózł żonę na ląd stały. Wyjazd ten nie zwrócił niczyjej uwagi, prócz jednej tylko miss Blake, już z natury podejrzliwej i lubiącej się zajmować cudzemi sprawami. W sercu jej tlały jeszcze resztki miłości dla Karola Andinnian, a obecnie łączyły się do nich gniew i zazdrość, chwytała więc skwapliwie każdą okoliczność, dozwalającą jej źle mówić o nim; dla tego też utrzymywała głośno iż gwałtem prawie wywiózł Łucyę z Anglii, *gdyż miał swoje powody aby jej nie dozwolić jechać do Foxwood*, w tym celu wmawiał w nią chorobę, która już nie istnieje, i prawdopodobnie nigdy a przynajmniej nie prędko wróci z nią do kraju.

Jakkolwiek mistress Cleeve nie przywięzywała zbytniej wiary do gadaniny miss Blake, jednakże, jak zwykle każda potwarz, uczyniło to na niej pewne wrażenie; w skutku czego napisała do Karola iż i ona i pułkownik Cleeve życzą sobie aby wracali i osiedlili się stale w Foxwood. Karol odpowiedział na to że dom w Foxwood nie jest jeszcze urządzony. Mrs Cleeve napisała do niego powtórnie, zawiadamiając iż pojedzie z miss Blake do Foxwood, zgodzi niezbędnych dwóch czy trzech służących a za przybyciem przyjmą ich więcej i urządzą się według swej woli i upodobania. Po kilku dniach nadeszła odpowiedź od Karola, w której zgadzał się i dziękował mistress Cleeve za jej uprzejmość, prosząc tylko aby służący, ktorych ma przyjąć, byli urodzeni w Foxwood i stale tam zamieszkali.

— Karol ma słuszność, rzekła do miss Blake matka Łucyi, widocznie chce sobie ująć biedną ludność miejscową, dowodzi to jego względności i dobroci.

Teresa nic na to nie odpowiedziała, ale w gruncie duszy pozostała przekonaną iż istnieją jakieś ukrywane powody tego postępowania, i że gdyby tylko mógł, niezawodnie nigdy nie wracałby z Łucyą do Anglii aby jej nie zawieść do Foxwood.

I przyznać jej trzeba iż posądzenia te wydawały się prawdopodobne.

Nie tracąc czasu, mistress Cleeve zaraz z Teresą pojechała do Foxwood-Court; przyjął je tam Hewitt, któremu powierzono straż domu wraz z pewną starą kobietą; uznały że niepodobnaby znaleźć zacniejszego i poważniejszego nadzorcy. Z innych służących byli tylko ogrodnicy, ale ci nie mieszkali w domu. Główny ogrodnik, Maclean, mieszkał z żoną w budce odźwiernego.

Miss Blake, pod pozorem szukania służących, rozglądała się bacznie we wsi i jej mieszkańcach. Nie ulega zaprzeczeniu że posiadała szczególniejszy węch i zmysł do wszelkich śledztw i poszukiwań, a wiadomo że kto tylko obdarzony jest podobnemi zdolnościami, czuje w sobie nieprzepartą chęć korzystania z nich w większych czy mniejszych rozmiarach Gdyby tak została ajentem tajnej policyi, każde powierzone jej dochodzenie, byłoby najniezawodniej pomyślnym uwieńczone skutkiem.

Sąd jej, co do wsi Foxwood, (nie mówimy teraz o dworze) wypadł na tejże niekorzyść. Najpierw nie podobał jej się kościół a raczej zaprowadzony w nim rytuał. Zaraz pierwszej niedzieli była na nabożeństwie i uznała że pastor Sumnor był niesłychanie zacofany; może, mówiła, jest on przykładny i sumienny, ale odprawiane przez niego nabożeństwo nie odznacza się ani nowością ani oryginalnością jaka cechuje obrządki zaprowadzone przez pastorów postępowych, z czego wynika że całe Foxwood pogrążone jest w grubej ciemnocie.

Rodzina pastora Sumnor składała się z córki kaleki jaką miał z pierwszej żony, z drugiej żony i jej dwóch córek. Pani Sumnor, jak to mówią, prowadziła męża za nos, a córki jej lubiły nadzwyczaj przepych i zbytek. Drugim mieszkańcem był doktor Moore, wdowiec, ojciec czterech córek, ładnych ale pozbawionych wszelkiej dystynkcyi w obejściu, którym matkowała siostra ojca, ciotka Dianna, osoba bardzo energiczna. Adwokat Saint-Henry był bezdzietny, ale adoptował liczną rodzinę, pozostałą po zmarłym bracie. W okolicy dość było młodych dziewcząt, ale za to co do mężczyzn sami tylko ojcowie rodzin, gdyż szczupła garstka młodzieży opuściła miejsce rodzinne, i rozpierzchła się po świecie za poszukiwaniem karyery. Ten stan rzeczy bynajmniej nie zadowolnił miss Blake, czego dowodził pogardliwy jej uśmiech. Jednakże mieszkańcy bardzo serdecznie powitali przybycie szanownej mistress Cleeve, matki lady Andinnian i przybyli wszyscy z kolei przedstawić się i zarazem zapytać czy nie mogliby być jej w czemś użyteczni; tak więc mimowolnie i miss Teresa zniewolona była zabrać z nimi znajomość.

Pewnego poranku w umyśle jej powstała myśl, którą poczytała sobie za zesłane z niebios natchnienie. Rozmawiając z nią, panny Saint-Henry, żywe, narwane nieco dziewczęta, noszące na głowie tak olbrzymie koki iż każdy z osobna równał się niemal wiązce siana, wyznały jej w zaufaniu iż zupełnie podzielają jej zdanie że pod względem religijnym Foxwood stoi dość nizko. Bywały często u ciotki w Londynie, mieszkającej tuż obok kościoła należącego do jednej z licznych nowych sekt istniejących w kościele anglikańskim, w którym nabożeństwo odbywało się z niezwykłą okazałością i oprócz pastora było przy nim aż pięciu młodych wikaryuszy, rzecz więc prosta iż gdy wracały do Foxwood, ubogi kościołek i stary pastor Sumnor trzymający się dawnego rytuału, tracili bardzo na porównaniu. Pragnęły też bardzo aby nowy lub też odrodzony kościół powstał w Foxwood. Nowy kościół w Foxwood! Miss Blake zadrżała! w umyśle jej zbudziła się myśl promieniejąca niezrównanym blaskiem; o! pomyślała, jeźli tylko projekt ten jest możliwym, *ona* go urzeczywistni! Biskupi i zacofane duchowieństwo starej daty, nie umieli jak należy ocenić wielebnego Guya Cattacomb, i skutkiem tego nie miał dotąd sposobności rozwinięcia wielkich swych zamiarów i zdolności—wiedziała o tem z listów, jakie pisywał do niej. I nagle z obumarłej istoty jaką się stała skutkiem zapleśniałej atmosfery otaczającej ją w Foxwood, przerodziła się w czynną i energiczną kobietę—znalazła cel do którego zmierzać chciała. Napisała niezwłocznie sążnisty list do wielebnego Guya Cattacomb, przedstawiając mu stan rzeczy w Foxwood, i właśnie rano dnia tego odebrała odpowiedź.

Przy śniadaniu przemawiała do latających koło otwartego okna ptaków i rzucała im okruszyny. Miss Cleeve miała odjeżdżać dnia tego, z zamiarem powtórnego przybycia gdy Karol i Łucya przybędą do Foxwood.

— Czy nie sprawia ci to przykrości, Tereso, że masz tu pozostać sama? zapytała jej mistress Cleeve.

Ale Teresa cała zajęta swoimi zamiarami i listem odebranym od Guya Cattacomb, nie słyszała zapytania i nic nie odpowiedziała. Miss Cleeve powtórzyła zapytanie.

— Przykrość? bynajmniej, przeciwnie jestem z tego nadzwyczaj zadowolniona... Z początku, wprawdzie, miejscowość ta bardzo mi się nie podobała, ale obecnie zmieniłam zdanie.

— Wszak wiesz co jeszcze pozostaje do zrobienia przed przyjazdem Łucyi i Karola?

— Wiem doskonale, mistress Cleeve—a zresztą wszak jest Hewitt który sam starczy za najliczniejszy poczet służby.

(*D. c. n.*)

N. 19—20. Dywanik przed łóżko.

Materyał tkany z grubych nici, zwany mommie dla pożółkłego odcieniu, użyty jest na dywanik przed łóżko, 104 cent. długi a 60 szeroki, którego brzeg na $4\frac{1}{2}$ c. szerokości, przerabiany jest w kratę jasną z ciemnem, a narożniki są ciemne. Frendzla siepana wprost z materyału jest 8 cent. szeroka. Deseń w guście chińskim narysowany jest za pomocą szablonu i odrobiony kolorową hamburgską włóczką. Szlaczek brzeżny wyszywa się podług ryc. 20.



N. 1. Kapotka z grelotkami z perełek.



N. 3. Kołnierzyk z haftowanej falbanki.



N. 2. Kapelusz okrągły z szerokiem rondkiem.

Opis do N-ru 17.

(Dokończenie.)

N. 14. Suknia z gazy jedwabnej.

Bufowana spódnica zakończona 6 cent. szeroką falbaną ułożoną w kontrafałdy, przybrana jest girlandami z róż i liści; panier i upięcie tylne dane z gazy różowej w złoty rzucik. Stanik bawetowy z różowego atłasu ma bertę z tiulu i gazy, której jeden koniec przypięty u dołu stanika sutą kokardą.

N. 25. Sukienka wycięta dla dziecka.

Sukieneczka z piaskowego kaszmiru, zapinana z tyłu na guziczki, ma przód przemarszczany w bufki, dopełniony z boków ranwersami. U dołu falbana plisowana 15 c. szeroka, przysłonięta haftowaną falbanką 9 c. szeroką, przemarszczoną w nagłówek.

N. 26, 22 i 42. Okrycie strojne letnie.

Ryc. 26 i 42 przedstawiają przód i plecy strojnego okrycia, uszytego z satin merveilleux; na ryc. 22 dajemy w zmniejszeniu krój okrycia, z wypisaniem miar całkowitej dłu-



N. 4. Kapelusz marynarski dla chłopczyka.

N. 5—6. Kapelusz i kołnierzyk dla dziewczynki.



N. 9. Ubranie spacerowe z obłożeniem pluszowem.

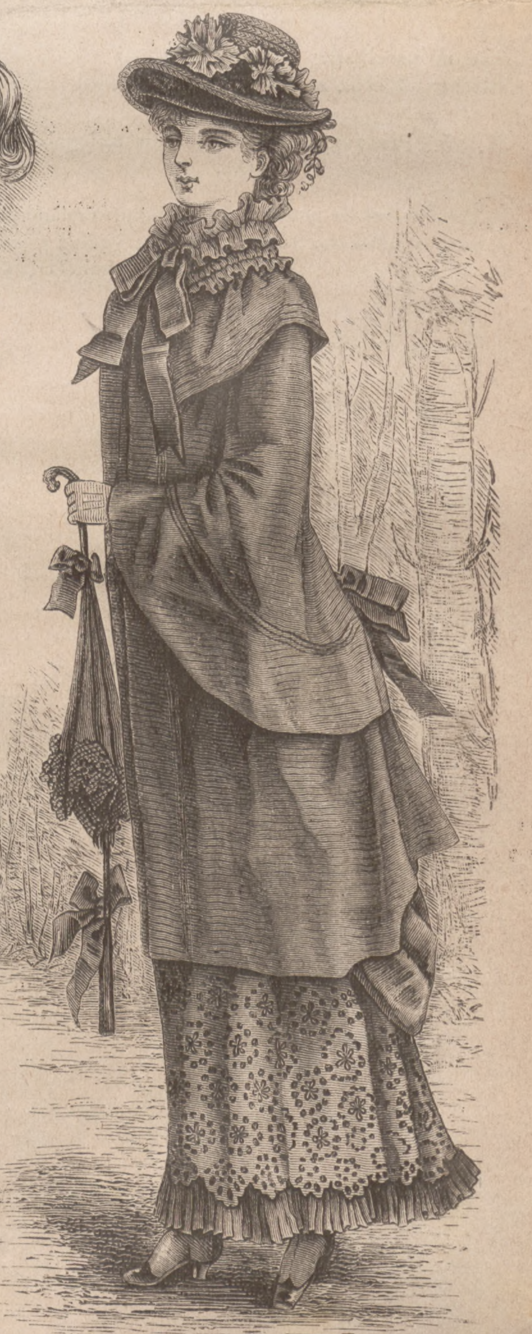


N. 7. Parasolik czworokątny z koronką.

N. 8. Parasolik z przemarszczeniem „coulissé".

N. 24. Fartuszek dla dziecka.

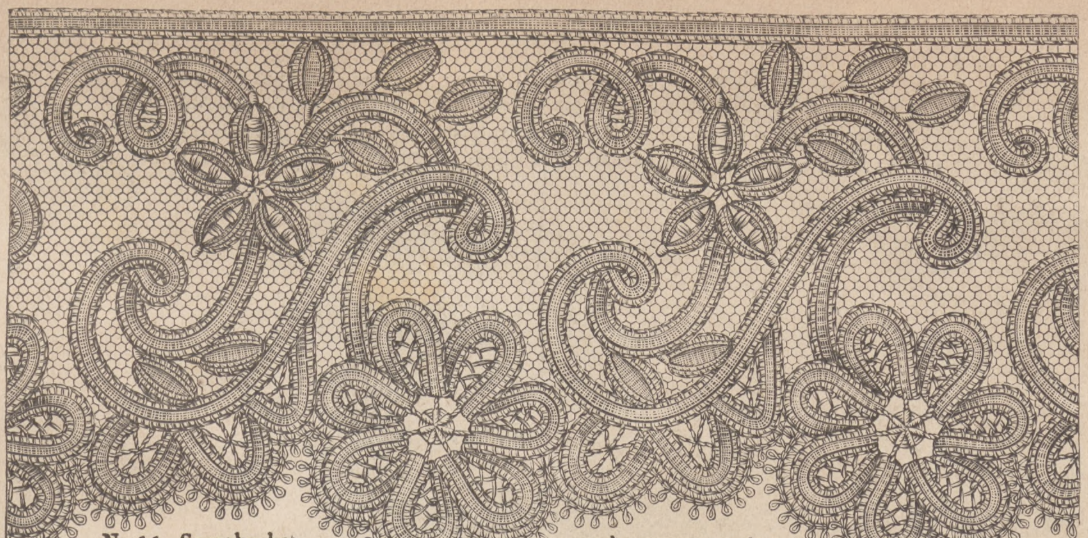
Przód fartuszka składa się z dwóch części; górna część liczy 26 c. długości a 70 szerokości i przemarszczona jest do 26 cent., dolna część fałdowana liczy 25 cent. długości. Dwie połowy pleców liczą po 45 cent. długości a 32 szerokości. Górne brzegi fartuszka po przemarszczeniu wszyte są w karczek z wszywki haftowanej oszytej ząbeczkami.



N. 10. Płaszczyk z przemarszczaną pelerynką.

Patrz ryc. 23 i 27.

gości i szerokości. Rękawy złączone szwem z tyłu na środku, przykrywają wązkie plecy przykrajane podług litery *e* i dopełnione częścią fałdowaną *c*. Przybranie stanowi koronka 10, 8 i 4 cent. szeroka i kosztowna pasmanterya złota ze szmelco-

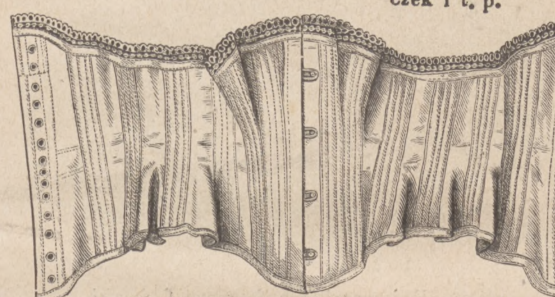


N. 11. Szeroka koronka naszyta tasiemeczką na tiulu, do parasolików, chusteczek i t. p.

falbaną; przody zapięte na dwa rzędy guzików, założone są w cztery, plecy w trzy kontrafałdy, po 4 cent. szerokie. U dołu falbany naszyta biała koronka wywinięta w górę.



N. 13. Ubranie balowe z indyjskiego muślinu.



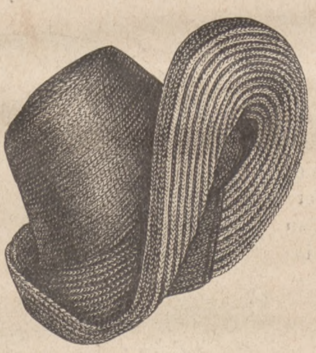
N. 12. Gorset dla amazonki.



N. 15. Kapelusz okrągły z żółtej słomki.



N. 17. Kubek cynowy. Deseń wypalony kwasem.



N. 16. Kapotka z podwójnem rondkiem.



N. 14. Ubranie balowe z gazy jedwabnej.

wanemi perełkami; kokardy z wstążki atłasowej 7 cent. szerokiej.

N. 35. Płaszczyk z pelerynką dla małego chłopczyka.

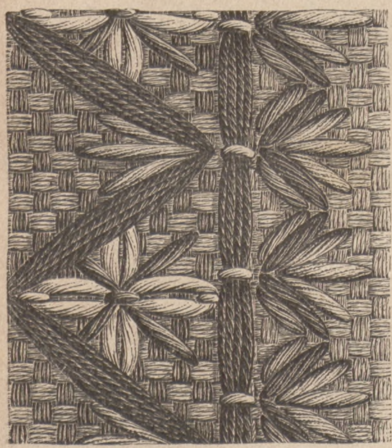
Przy szerokim puszczonym staniku, dodana plisowana spódniczka 26 cent. długa; wzdłuż przodu zapięcie na guziki; pelerynka, wązki kołnierz, pa-

N. 37. Ubranie balowe.

Suknia ta odrobiona jest z blado-żółtej gazy w złoty deseń i z brokatelli mieniącej się złotawo; frendzla kwiatowa ułożona jest z listków paproci i ponsowych kwiatków wiszących na szenelowych korzonkach. U dołu sukni nad plisowaniem dana szeroka riusza atłasowa. Stanik bawetowy atłasowy ma bertę z brokatelli.



N. 18. Deseń do ryc. 17.

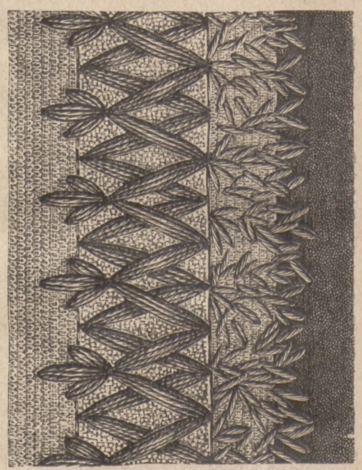


N. 20. Szlaczek do ryc. 19.

sek i wykłady przy rękawach przestębnowane kilkakrotnie.

N. 36. Sukienka fałdowana dla dziewczynki.

Plecy krają się w całej długości, przody zaś dopełnione są plisowaną

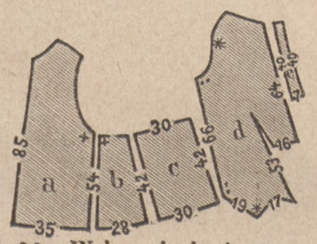


N. 21. Szlaczek wyszyty ściegiem luźnym na srebrnej taśmie.

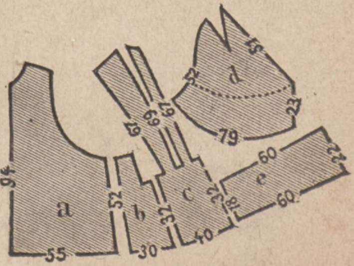
Rękawiczki sięgające do ramion; włosy pudrowane złotym pudrem.



N. 19. Dywanik przed łóżko.



N. 22. Wskazanie kroju do ryc. 26 i 42.



N. 23. Wskazanie kroju do ryc. 10 i 27.

N. 38. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Szlak haftowany w maszynie 15 c. szeroki, stanowi przybranie sukni wizytowej, uszytej z krepy wełnianej koloru zielonawego. Na spódnicy dane falbany pliso-

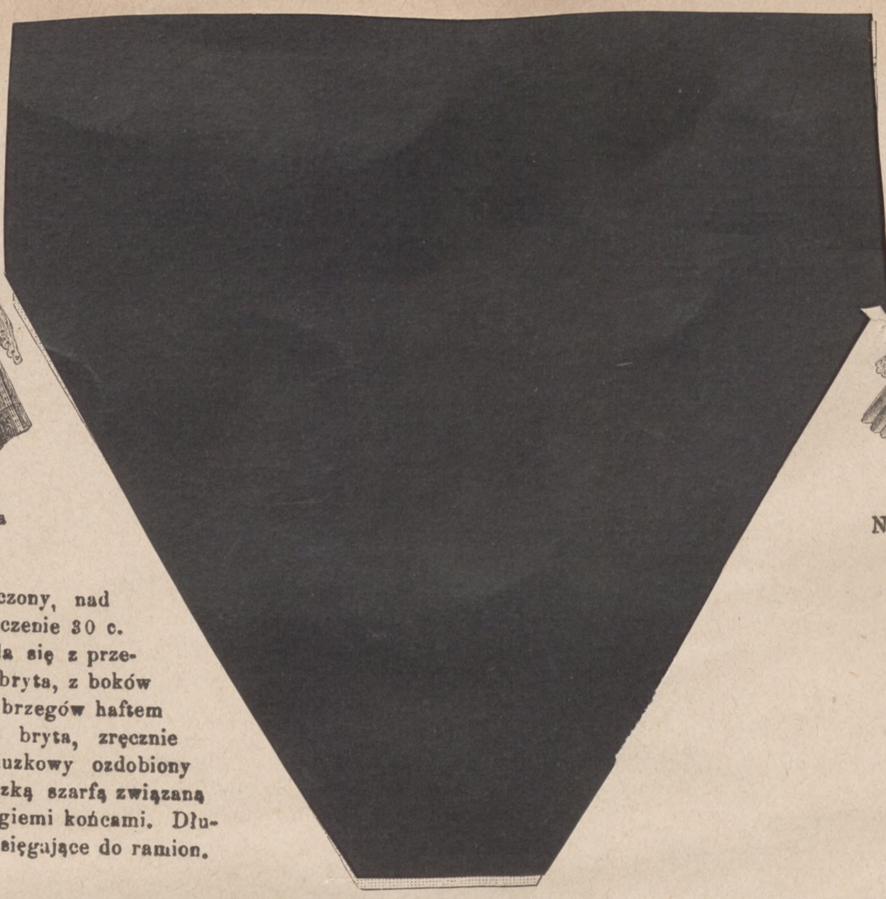


N. 24. Fartuszek dla dziecka.

wane i wolant marszczony, nad którym dane przemarszczenie 30 c. szerokie. Tunika składa się z przedniego fartuszkowego bryta, z boków trójkątnych oszytych z brzegów haftem i z długiego prostego bryta, zręcznie podpiętego. Stanik bluzkowy ozdobiony haftem, przyciśnięty wązką szarfą związaną z boku w kokardę z długiemi końcami. Długie duńskie rękawiczki, sięgające do ramion.



N. 26. Strojne okrycie. Patrz ryc. 22 i 42.



N. 28. Deseń haftu na poduszce ryc. 7 w N-rze 16.



N. 25. Sukieneczka wycięta dla dziecka.

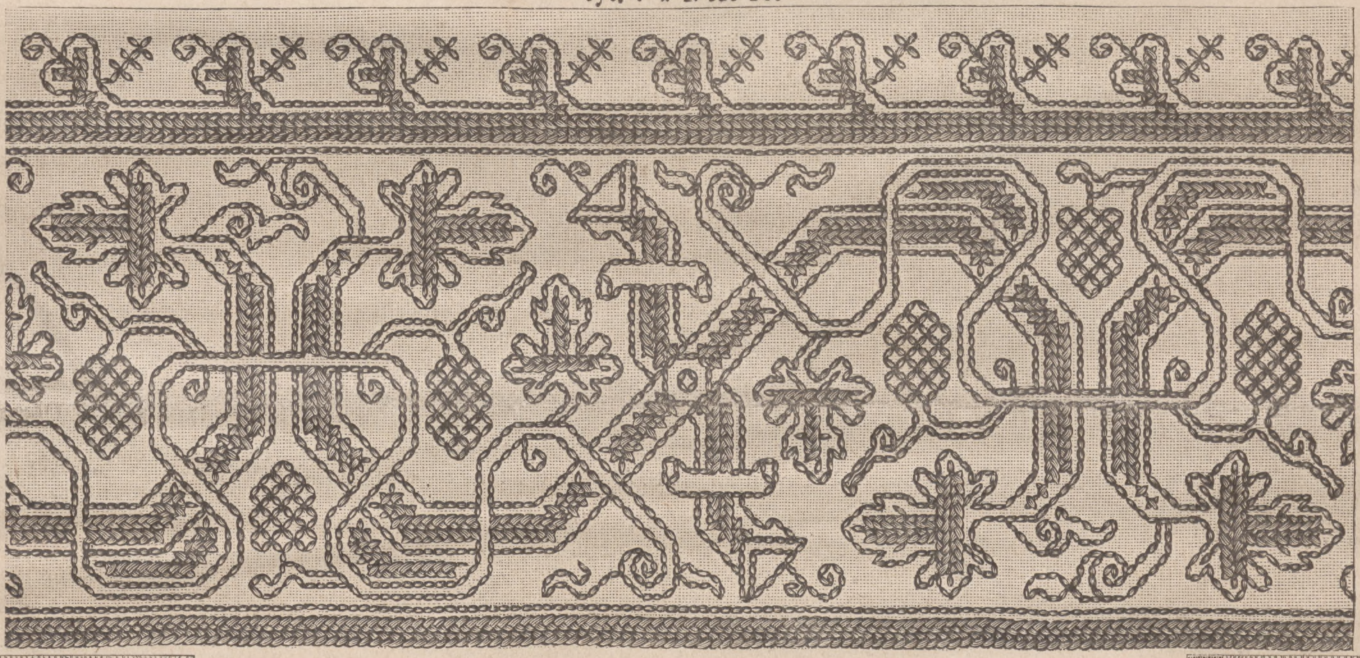
marszczą się lekko pod szerokim paskiem morowym, związanym z boku w kokardę. Przybranie stanowi szlak 14 cent. szeroki, haftowany w maszynie.



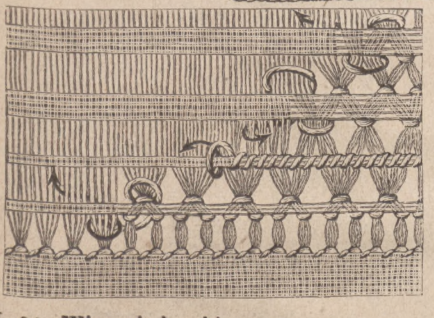
N. 27. Płaszczyk z marszczoną peleryną. Patrz r. 10 i 23.

N. 39—40 i 29. Poduszka do kanapy. Haft ściegiem plecionym i jednakowym na dwie strony.

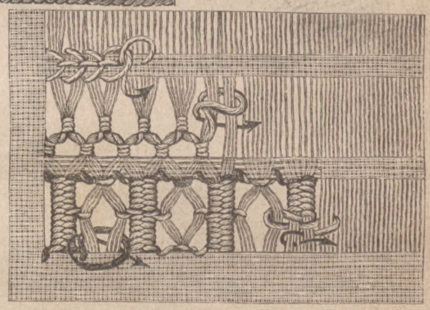
Wzór do tej poduszki wzięty jest ze starożytnego oryginału znajdującego się w muzeum drezdeńskiem; tło środkowe dane z pluszu lub atłasu, szlak odrobiony na płótnie jedwabiem ponsowym. Ryc. 29 załącza w naturalnej wielkości szeroki szlak do poduszki, a ryc. 40 podaje wązki szlaczek i przedstawia zarazem oryginalny sposób zapięcia haftowanej powłoczki na poduszce z kolorowego atłasu.



N. 29. Szlak do poduszki ryc. 39.



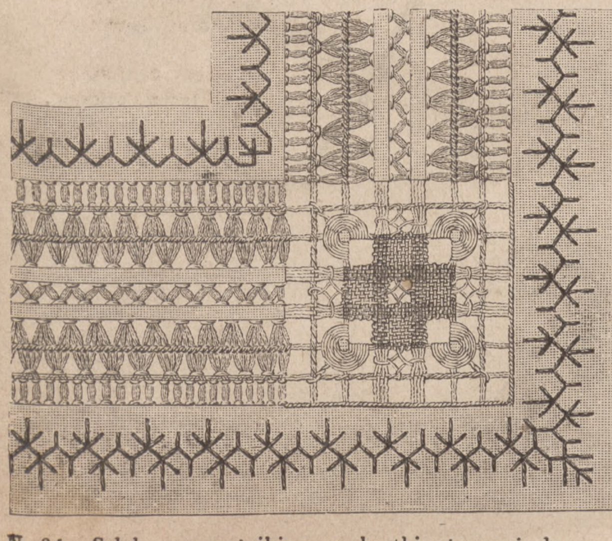
N. 30. Wiązanie kratki ażurowej do r. 31.



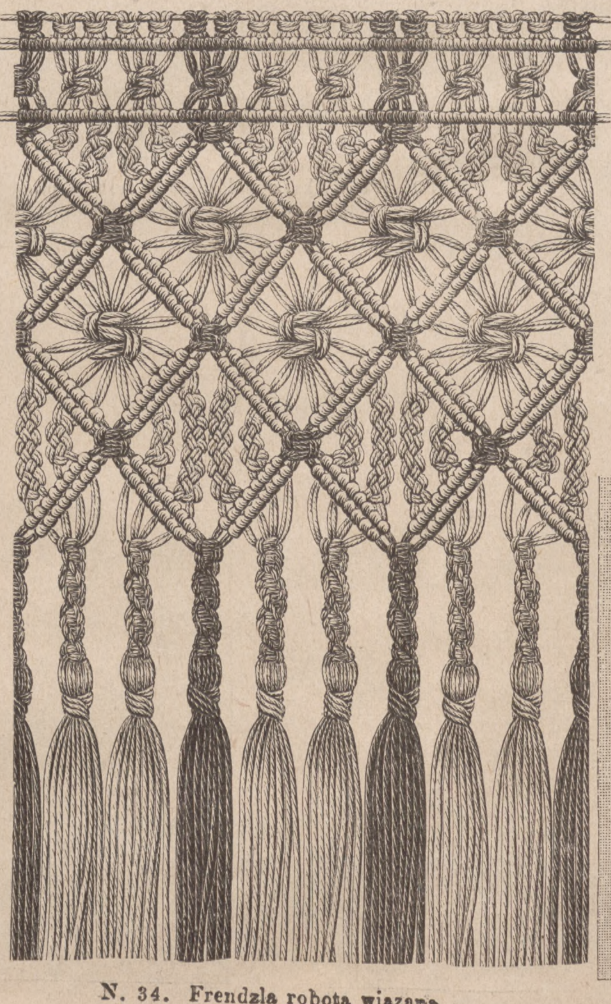
N. 32. Wiązanie kratki ażurowej do r. 33.

N. 41. Ubranie spacerowe.

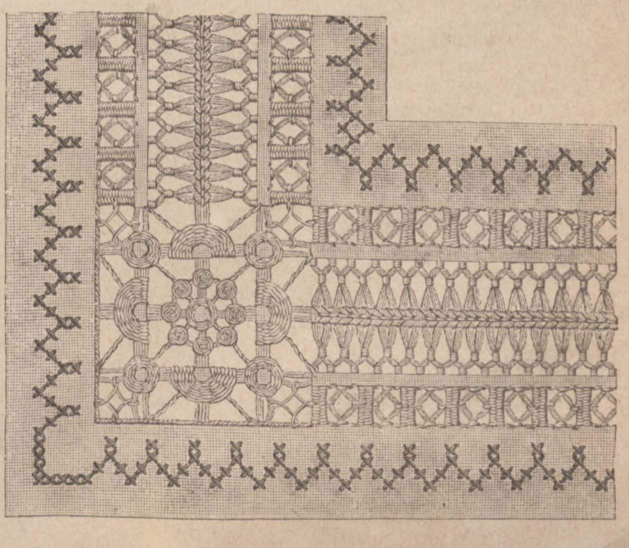
Suknia czarna kaszmirowa ma kamizelkę, szarfę i kokardy dodane z moiré antique; przody vêtement bez zaszewek



N. 31. Szlak z narożnikiem z kratki ażurowej, do ryc. 5 w N-rze 16.



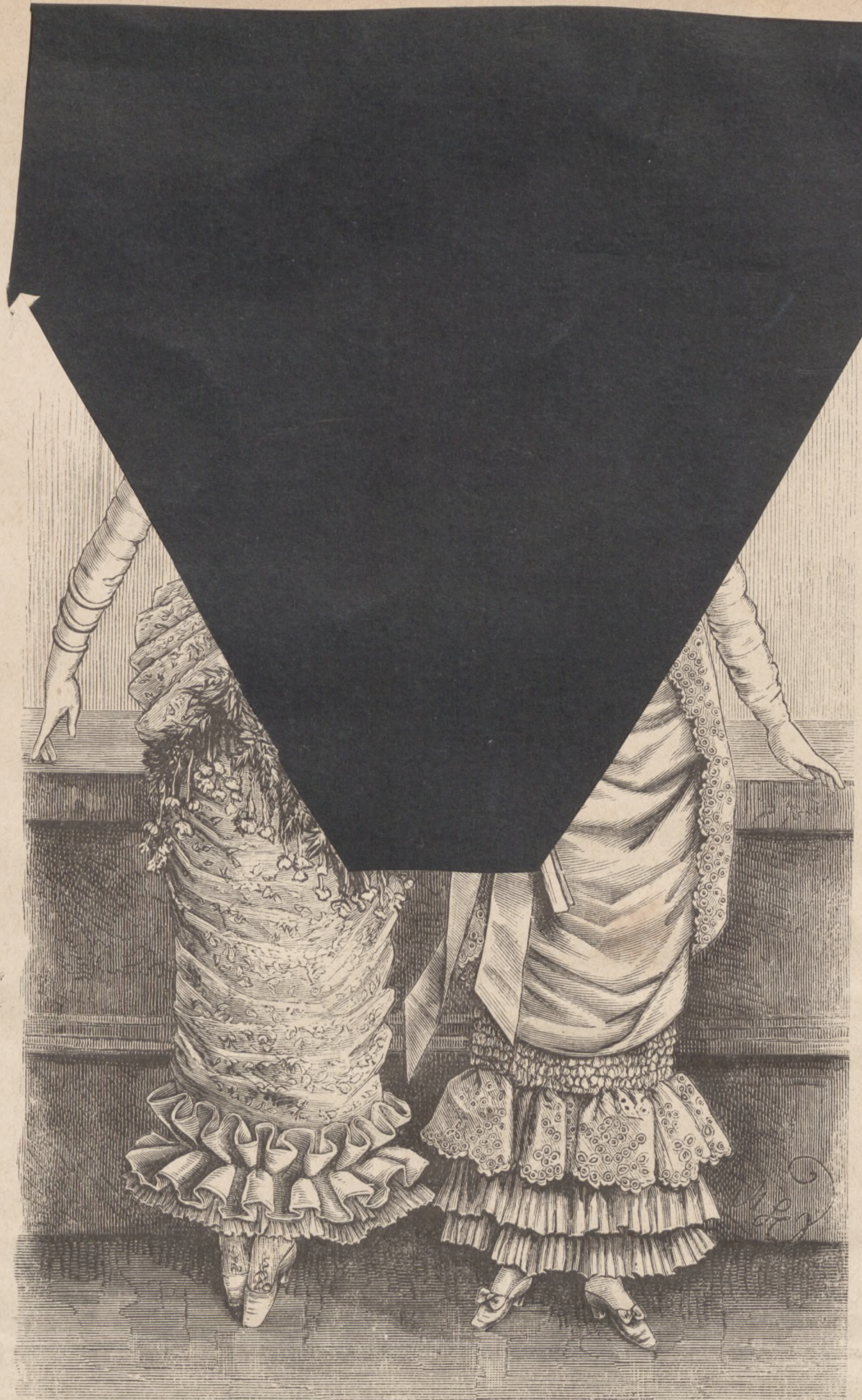
N. 34. Frendzla robotą wiązaną (macramé).



N. 33. Szlak z kratki ażurowej odpowiedni do bielizny. Patrz ryc. 32.



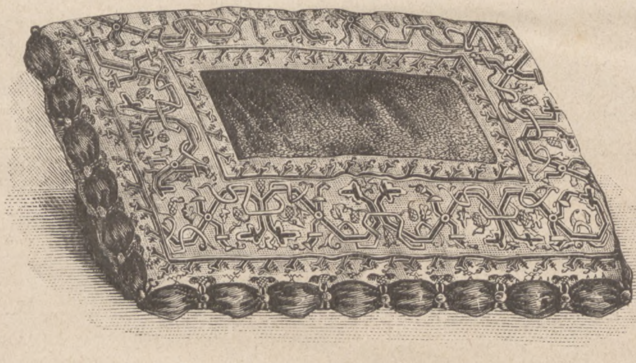
N. 35. Płaszczyk z peleryn-
ką dla chłopczyka.



N. 37. Suknia balowa zdobna kwiatami. N. 38. Suknia z bluzkowym stanikiem.



N. 36. Sukienka fałdowana
dla dziewczynki.



N. 39. Poduszka ze szlakiem haftowanym.
Patrz ryc. 29 i 40.



N. 41. Ubranie spacerowe z vêtement.



N. 40. Zapięcie brzegów bocznych poduszki ryc. 39.



N. 42. Strojne okrycie. Patrz ryc. 22 i 26.



Pl. 498.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.